№ 18. Warszawa, dnia 21 Kwietnia (3 Maja) 1879 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

LISTY Z PODRÓŻY

pisane przez

Stefana Marusińskiego do rodziny w kraju.

(Dalszy ciąg).

Egipt, Aleksandrya d. 1 września 1878 r.

Dzięki, serdeczne dzięki za odebrane listy. Ucieszyły mnie one nad wszelki wyraz! Jestem szczęśliwy, wesoły i dziękuję gorąco Bogu że Rodzice są zdrowi oby im Bóg Najwyższy dał wszystko najlepsze i zachował Ich jak najdłużéj. Właśnie w dzień Matki Boskiéj odebrałem te listy i sam nie wiedziałem który pierwéj mam czytać, tylko przykro mi było że wszyscy takeście się martwili moją chorobą.

Proszę takiemi rzeczami na przyszłość się nie kłopotać, Bóg jest dobry, On o wszystkich pamięta więc i mnie przy Jego pomocy i opiece nic złego się nie stanie: przytem wszędzie są dobrzy ludzie, i takich też i tu znalazłem. A szczególniéj niech Mama nie płacze bo każda Jéj łza kamieniem pada na moje serce. Pomodlić się, westchnąć na moją intencyą dobrze, lecz się nie martwić, chociażby i listu dłuższy czas nie było: przysłowie francuzkie mówi: „Żadna wiadomość, dobra wiadomość.“ Proszę być dobréj myśli, toż tu nie jest tak źle jak sobie wyobrażacie, wszak tysiące ludzi pływa po morzach, żyje w dzikich krajach, a nie giną przecie, to tylko zdaleka wydaje się niebezpiecznie lecz w rzeczywistości tak nie jest. Zdrowie moje już zupełne, sił nabieram, nawet o wiele lepiéj wyglądam niż przedtem, widocznie mam naturę kota, który choć z 4-go piętra spadnie to zawsze na nogi.

Ponieważ poczta indyjska nie nadeszła jeszcze, by statek via Brindisi mógł odejść, nie mam więc potrzeby spieszyć się i piszę wyraźniéj niż dotąd co prosze mi darować, gdyż i pisanie różnymi językami ma wpływ że charakter mego polskiego pisma jest mniéj czytelny. Wandzia pisze mi żebym tak po roku przysłał moje pamiętniki jabym to i zrobił, lecz są ogromnie nieczytelnie pisane, a tak pokreślone i różnemi uwagami posiatkowane że wątpię by kto inny prócz mnie potrafił to odcyfrować. Gdy wrócę do domu to w długich zimowych wieczorach, w jadalnym pokoju przy robocie odczytywać będę; jak to lat temu 8 w czasie wakacyi podróże Arago czytałem z tą różnicą, że już nie będę się upominał o ekstra szklankę kawy i bułkę z masłem, jak to w ów czas miało miejsce, od dyżurnéj panny. Teraz opiszę trochę kraj tutejszy i jego zwyczaje.

Aleksandrya leży tuż po nad morzem, którego brzegi wzdłuż całego wybrzeża jak miasto sięga pokryte są domami. Część północna miasta jest wyłącznie prawie zamieszkana przez Arabów, lub narodowości afrykańskie i azyatyckie, i jest najludniejszą. Druga połowa miasta rozciągająca się na południe i wschód jest przeważnie europejską czyli miastem Franków, jak je Arabowie nazywają, jednakże tak stanowczéj granicy między jednem a drugiem miastem jak w Algerze tutaj nie ma. Ludność miasta wynosi 300,000, lecz na pewno powiedziéć nie można, albowiem nawet władzy wstęp do wnętrza domów mahometańskich jest prawem Koranu wzbroniony. Miasto pomimo ścisku domów arabskich jest dosyć rozległe; przeważną część ludności stanowią Arabowie, oraz Berberyni z północnéj Afryki, daléj Syryjczycy, Arabowie z Azyi którzy są Chrześcianami, znajdują się tu licznie, Turcy, Armeńczycy, Murzyni, Hindusi, Abisyńczycy i rozmaite inne narodowości Wschodu tworzą dosyć liczny zastęp. Co do Europejczyków to najwięcéj jest Włochów i Greków, i różnych ludzi wyjąwszy Polaków i Rosyan z całego świata.

Mowa Arabska i Włoska a tego ostatniego języka nauczyłem się już tyle, że rozmówić się mogę dobrze, ponieważ stoję u Włoskiéj familii. Tutejsi Arabowie znacznie się różnią od Algierskich swych braci, a różnica ta polega na stosunku tychże do Europejczyków. Podczas gdy w Algierze rząd francuzki i religia katolicka jest panującą, tu przeciwnie, Khediw czyli wice-król oraz kraj cały są mahometanami: to też i jego mieszkańcy czują się być śmielsi na swéj ziemi. Naturalnie i fanatyzmu religijnego jest więcéj; przez cały czas mego tutaj pobytu raz jeden tylko widziałem Araba pijącego „Mastikaqua“ (wódkę) i to nb. zapłaconą przez mego towarzysza z którym byłem w kawiarni. Wyjątek rzadki, w Algerze zaś Arabowie piją wino, wódkę, absynt, jak gdyby Koran nie egzystował na świecie. Przykład Francuzów oddziaływa na nich. Zwyczaje tutejsze przechowały się więcéj charakterystycznie, są wiernymi wyznawcami Proroka, obserwują przykazania Koranu i wszelkie obrządki religijne obchodzą ze skrupulatnością: i tak niedawno było jakieś święto mahometańskie i procesya; wiedziony ciekawością udałem się do miasta arabskiego, wraz z jednym znajomym Niemcem, który objaśniał mnie co do znaczenia tego obrządku. Ścisk był olbrzymi, gorąco straszne, zawdzięczając ubiorowi europejskiemu, i znajomości języka arabskiego mego towarzysza, przedostaliśmy się dosyć dobrze na miejsce zkąd mogłem dokładnie wszystko widzieć. Procesya postępowała następującym porządkiem: najpierw szli Arabowie z chorągwiami podobnemi do naszych z pół-księżycem u góry, daléj rozmaici kościelni niżsi dygnitarze, śpiewając a raczéj powtarzając ostatnie słowa pieśni intonowanéj przez Imana, który otoczony rzeszą derwiszów i członkami familii Mahometa w zielonych turbanach, stąpał poważnie nucąc monotonną pieśń pobożną.

Przed nim szła muzyka złożona z bębna rodzaju cygańskiego, fletu i klarnetu, które to instrumenta grając całkiem inną melodyą niż śpiewana, usiłowa-

ły jeden przed drugim fałszywiéj i głośniéj piszczéć.

Jeden zaś opętany derwisz skakał i tańcował jak waryat, oczy w słup, piana w ustach, włos bardzo długi za każdym ruchem głowy rozwiany, tworzył setki wężów miotających się na wszystkie strony. Obok niego chmara chłopaków Arabskich biegała i wrzeszczała w niebogłosy, co zdawało się wprowadzać go w jeszcze większy rodzaj zachwytu. Wydawał więc jęki jak bawół zraniony, co przy drgających konwulsyjnie muszkułach całego ciała, prawie nagiego, obrzydliwy przedstawiało widok. Odwróciłem oczy aż tu nagle plusk plusk i oblano mnie wodą różaną, którą chłopcy wszystkich otaczających pokrapiali. Na mnie zaś nie wiem dlaczego, wylano całą flaszkę tak że długo jeszcze potem moje suknie woń tę zatrzymały. Po obejrzeniu wszystkiego udaliśmy się do kawiarni by trochę odpocząć, gdzie chcąc obetrzéć się z téj masy perfum sięgam do kieszeni po chustkę i lusterko, których jednak nie znalazłem, stały się więc pastwą jakiegoś wiernego Muzułmanina, który w ferworze religijnym sięgnął przez omyłkę tylko do kieszeni Nazarejczyka niewiernego, jak tutaj Chrześcian nazywają. Towarzysz zaś mój stracił złotą dewizkę, którą nosił na tużurku, zegarek mu został, lecz jakim cudem do dziś dnia pojąć nie mogę. Usiadłszy tedy w owéj kawiarni, to jest na ulicy pod werandą płócienną, kazaliśmy sobie podać kawę i nargile, aż tu krzyk że wice-król jedzie! Najprzód biegło pędem dwóch laufrów (po arabsku Said) bogato ubranych w czerwonych fezach, od których chwasty jedwabne spadały aż na plecy, i mieli kaftany krótkie po pas do figury, czarne bogato złotem haftowane, rękawy od koszul nadzwyczaj szerokie, spięte na plecach, tak że ręce od ramion nagie, do tego krótka spódnica (rodzaj spodni) biała po kolana, nogi gołe i bose. Ci laufry z białemi laskami w rękach biegną w największym pędzie przed powozem dla robienia miejsca na ulicy. Każdy z paszów lub nawet Europejczyków zajmujących jakiś urząd, posiada dla pompy takiego laufra. Ludzie ci muszą nieraz tak i milę przed karetą pędzić, i to w biegu równającym się dobremu kłusowi lub galopowi koni arabskich. Biedni ludzie!... Za temi biegaczami murzyni, niewolnicy na przepysznych rumakach, wreszcie kareta wice-króla otoczona dokoła gwardyą konną Mamelukami zwaną. W otwartéj karecie siedział sam wice-król Izmail pasza ubrany niewybrednie; fez skromny, oberrock koloru żółtawego, czarne pantaliony i ot cały ubiór. Wygląda na lat 40 lub nieco więcéj, twarz ma poważną i pełną, nosi brodę z turecka, koloru żółto-blond, podobno farbowaną. W ogóle wygląda więcéj na zamożnego obywatela niż na Kediwa Egiptu. Pomimo ubóstwa skarbu, osobiście jest ogromnie bogatym, posiada blizko 30 rozmaitych pałaców wartości przynajmniéj 100 milionów franków. Pod jego rządem dla Arabów i w ogóle dla krajowców jest strasznie, podatki olbrzymie muszą płacić, podczas gdy Europejczycy nie dają ani szeląga. Nie macie pojęcia o wolności jaka tu panuje, i tak np. wszystkim jest wolno broń nosić, Europejczycy wewnątrz kraju nie potrzebują pasportu, a ich ubiór jest najlepszą legitymacyą. Jednakże za przybyciem do Egiptu trzeba pasport jakiś pokazać, dla mnie książeczka legitymacyjna z r. 1864 gdym miał wówczas lat 8 jest najlepszym w świecie pasportem. Pisana w języku którego nikt tu nie zna, opatrzona pieczęciami wywiera wpływ magiczny. Obecnie znajduje się u konsula pruskiego gdzie mi ją nawet ostęplowano, przez co zyskała jeszcze wiele na wartości. Konsula rossyjskiego tutaj nie ma.

Policya tutejsza do tyla jest względną, iż pozwala ludziom sypiać na ulicy, wieleż to razy przechodząc późno wieczorem spostrzegałem na trotuarach Arabów, Murzynów i t. p. zawiniętych w burnus i chrapiących aż miło. Wygodna to rzecz gdy się nie ma własnego mieszkania; przytem zawsze pogodne niebo, i gwiazdy błyszczą nad nami, a dokoła jakby stróże przechadzają się dzikie psy, które tylko wyciem swojem przerywają rozkoszne sny śpiących. A propos tych psów, są to zwierzęta prawie wielkości wilka, sierci żółto-szaréj i dosyć mocne, dniem włóczą się na pustyni żywiąc się Bóg wie jakim sposobem, chyba jaszczurkami lub same siebie zjadają, na noc zaś ściągają do miasta, gdzie szukają co do zjedzenia. We dnie są one nader trwożliwe, w nocy zaś zaczepione są niebezpieczne. Dziwne wyobrażenie miałem dawniéj o pustyni, zdawało mi się że to olbrzymie morze piasku, tak zaś nie jest. Pustynia Libijska, która tuż po za Nilem się znajduje, przedstawia nam się jako płaszczyzna pagórkowata, pokryta mieszaniną piasku z ziemią wapienną: na niéj znajduje się pewien gatunek roślin, które w swych okrągłych kwiatach zawierają słoną wodę. O takich morzach piasku, jak niektórzy podróżnicy opowiadają, tutaj nie słychać, jak również o karawanach zagrzebanych w piasku: ale zdarza się że cała karawana ginie jedynie z braku wody. Woda jest tu wszystkiem.

Właściwy Egipt to jest ziemia gdzie się coś rodzić może, ciągnie się wzdłuż Nilu i to niekiedy na trzy mile szerokości, daléj pustynia, źródeł wcale nie ma, wszyscy piją wodę Nilową.

Ale wracam do miasta arabskiego.

Pryncypalną ulicą jest prowadząca do portu, daléj Bazary czyli ulice poboczne lub blizko niej leżące. Domy w tychże nie są wyższe nad jedno piętro, z płaskiemi dachami i drzwiami z tyłu, przód bowiem tworzy rodzaj zagłębienia gdzie są sklepy. Po nad sklepami znajdują się płócienne dachy, które na niektórych ulicach stykając się ze sobą tworzą przepyszny cień. Siedzą w nich Arabowie na dywanach, pijąc kawę i paląc nargile, dokoła snują się interesanci, lub kupujący towar, krzycząc, wrzeszcząc, oglądając, ganiąc, na co jednak kupiec ani słowem nie odpowiada, i dopiero zapytany o cenę przedmiotu. podnosi się, podaje takowy i wymienia cenę którą stosownie do osoby kupującego naznacza. I tak: Europejczyk pytający się po angielsku, dostaje cenę poczwórną, po francuzku potrójną, po włosku zaś lub arabsku podwójną: bez targu nic się tu nie da kupić ani sposób, przy targowaniu z największym spokojem, obiedwie strony używają na świadectwo Allacha mówiąc:

— Jest tylko jeden Bóg i jeden prorok, przedmiot ten jest wart tylko 10 piastrów.

— Jak wielki Allach on wart 20 piastrów!

I tak daléj, jeden postępuje drugi opuszcza a w ogóle kupuje się wszystko krakowskim targiem, za pół ceny.

Jest to zwyczaj na wschodzie wszędzie rozpowszechniony i żydzi nasi ztąd go zapewnie wzięli.

Nic nie przedstawia takiéj rozmaitości jak widok bazarów arabskich. Po obu stronach ulicy sklepy z powywieszanemi przedmiotami dokoła, kupcy w pstrych strojach, handlarze owoców z ogromnemi koszami na plecach i głowach krzyczą z całych sił, daléj wieśniaczki z okolicy roznoszą rodzaj kukurydzy pieczonéj wołając: „durrah suchne“ (durrah gorące) a roznosiciele lemoniady i lodów dzwonią niemiłosiernie talerzykami mosiężnemi. Chłopcy z okulbaczonemi osłami ciągną Europejczyka na wszystkie strony kłócąc i bijąc się niemiłosiernie: tu arab prowadzący kilkanaście wielbłądów ładownych krzyczy: z drogi! tam znów długi wóz napełniony masą kobiet arabskich staje, albowiem konie przecisnąć się nie mogą, a wszędzie krzyk, hałas, gdakanie kur w klatkach, beczenie baranów, które strzygą, huk młotów kowalskich, pisk i zgrzyt ślusarzy, ot krótko powiedziawszy, piekło Dantego. Jeżeli zaś jeszcze procesya pogrzebowa arabska w to się wmiesza, to rady nie ma, trzeba uciekać, bo krzyk i śpiew niosących nieboszczyka, oraz zawodzenie, niemal syczenie i bicie się po obnażonych piersiach, płatnych płaczek towarzyszących konduktowi, nie jest do zniesienia.

Pomimo ścisku i zamieszania wypadki prawie nigdy miejsca nie mają, bo nie sposób upaść na ziemię, ludzie bowiem ciągną jak na procesyi. Lecz jakżeż to ślicznie wyglądają te bazary i ulice wieczorem, oświetlone lampami, które setkami porozwieszane kołyszą się rzucając fantastyczne odblaski, i księżycem którego światło jest tak silne, że możnaby się prawie bez słońca obejść. Przytem gwiazdy, słońce i księżyc wydają się tu o wiele większe i mają więcéj siły z przyczyny blizkości równika. Nic piękniejszego jak spacer po nad Nilem przy zachodzie słońca.

Brzegi rzeki pokryte gajami palmowemi, śród których bieleją pałace i wille w stylu arabskim, zachodzące słońce rzucając swe złote promienie oblewa cały ten krajobraz dziwnem światłem, które w tym kraju gdzie powietrze jest nader przezroczyste, tworzy przecudne kolory złoto-srebrno fioletowo-różowe. Na tem więc prześlicznem tle kołysane lekkim wietrzykiem korony daktylowców, palm bananowych, akacyi, tamaryndów i t. p. rysują swe kształty z taką dokładnością i miękkością, że zachwycony wędrownik oka od obrazu tego oderwać nie może. Oczarowany takim widokiem stałem długo nad brzegiem Nilu podziwiając panoramę, gdy wtem za wejściem księżyca cały krajobraz zmienia się jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiéj. Olbrzymi cień palm łamiąc się w powierzchni wód Nilu, tworzył na dnie tegoż nowe panoramy, które przecięte niekiedy falą łódki płynącéj cicho po powierzchni wody, drgały jakby wiatrem poruszane. Wpływ jaki ta cudowna natura na człowieka wywiera jest nie do opisania, mimo woli dusza podnosi się do Boga, a myśl przenosi nas w te czasy, kiedy to Zbawiciel stąpał po téj ziemi schroniwszy się przed prześladowaniem Heroda. Egipt rzeczywiście jest krajem gdzie najwięcéj pamiątek historycznych z różnych wieków i czasów przechowało się. Niedawno zwiedzałem katakomby pierwszych Chrześcian które leżą już po nad Nilem na zachód od miasta. Katakomby te stanowią dziś szczątki grobów i korytarzy podziemnych, w których pierwsi wyznawcy chronili się przed prześladowaniem. Wprawdzie uszkodzone znacznie wskutek ciągłego zalewania przez morze, badane jednak starannie, dają widzieć jeszcze w owem wnętrzu szczątki pierwszych męczenników, oraz resztki lampek glinianych które się na ich grobach paliły. W jednym z grobów znalazłem czaszkę ludzką, która jednak za dotknięciem w proch się rozsypała.

(d. n.)

SKARGA DZIEWCZYNY.

(z Schillera).

Szumi dębina,
Chmur ciągną stada,
Smutna dziewczyna
Na brzegu siada,

A strumień szemrze i pluszczą fale,
Do nocy biedna rozwodzi żale,
Łzawi swe oczy i wzdycha:

„Serce mi zmarło,
Pusto na świecie;
Na nim się starło
Życzeń mych kwiecie!
Weź mię, niebianko, weź marne plemię,
Znam z wesołości i szczęścia ziemię,
Piłam z miłości kielicha."

Zdrojem łzy płyną
I serce studzą;
Skargi przeminą,
Zmarłych nie wzbudzą,
Powiedz więc, droga, czém pierś pocieszy,
Gdy miłość zniknie z serca pieleszy, *)
Ja święta spełnię życzenie.

Łez płyną zdroje,
Niech w strumień śpieszą!
Łzy, niepokoje,
Zmarłych nie wskrzeszą.
Gdy miłość zniknie z serca pieleszy,
Pierś żałośliwą pewnie pocieszy
Miłosnéj skargi jęczenie.

Józef Chmielewski.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Maryan westchnął. Przypomniał sobie, jak jemu daleko do takiego spokojnego domku! Dzisiaj przynosi mu dom jego tyle niepokoju!...

— Prawda, rzekł po chwili, domek spokojny i cicha praca to szczęście człowieka!

Pan Krzysztof westchnął głęboko.

— Szczęście! odparł, przecież sam domek i sama praca nie dają jeszcze szczęścia! Trzeba tę pracę i ten domek z drugą osobą podzielić! Czy nieprawda?

Maryan westchnął także bo przypomniał sobie listy z Wenecyi.

— Tam do kata! krzyknął nagle gospodarz, ja z tobą rozmawiam jakbyś był syty i najedzony na trzy dni, a ty zapewnie głodny jesteś jak pies wędrowny! Nie prawdaż? Czy nie tak?

— Nie jestem wcale głodny!

— Ceremonii ze mną nie rób! Ale nie lękaj się! Już podniosłem Marcinka z łóżka za ucho, za dziesięć minut będzie jadło! U mnie wszystko po żołniersku! Jeszcze raz pójdę popatrzyć!

Nie czekając odpowiedzi zerwał się pan Krzysztof, zrobił przez trzy pokoje tylko dwa kroki i zniknął.

Maryan obejrzał się tymczasem po gabinecie czyli kancelaryi, gospodarza.

Dawniéj w tak zwanéj kancelaryi pana Krzysztofa było zupełnie inaczéj. Ściany białe, stół prosty sosnowy, stos regestrów i kwitaryuszów, beczułka atramentu i miseczka szarego piasku, oto cały sprzęt kancelaryjny. Dzisiaj wyglądało to zupełnie inaczéj. Na ścianach były tapety w duże winogradowe liście z po za których wyglądały ciekawie małpy i papugi, przy oknie stało biurko orzechowe misternie rzeźbione a na biórku stały szeregiem jakieś książki w zbytkowéj oprawie.

Maryan wziął jedną książkę do ręki i zdziwił się niemało, gdy tytuł przeczytał. Zamiast podręcznika o burakach i turnipsie miał w ręku, Mickiewicza!...

Wziął drugą książkę... Słowacki! Trzecią... Krasiński... czwartą... Zaleski Bohdan! Inne były częścią literackiéj, częścią naukowéj treści!

Maryan osłupiał. Dawniéj miał pan Krzysztof tylko kalendarz, który mu zarazem służył do rozrywki umysłowéj i notatek gospodarskich... zkąd się dzisiaj wzięło u niego zamiłowanie do literatury, do poezyi?...

Długi czas nie umiał sobie Maryan na to odpowiedzieć... Zbliżył się do łóżka, które stało po drugiéj stronie... przy łóżku stała lampka a obok lampki leżała znowu książka! Była otwarta, kartki pozaginane... Widocznie wczoraj w nocy czytał pan Krzysztof tę książkę... spojrzał na tytuł, Marya Malczewskiego!

Zastanowił się nad tem Maryan. Było to jakoś wszystko w związku z restauracyą domku... pan Krzysztof przedsiębrał także wewnątrz siebie jakąś restauracyą...

— A co, nie powiedziałem? wołał gospodarz już z trzeciego pokoju, za dziesięć minut jak obszył będziesz miał bifsztyk doskonały z ogórkiem i jajecznicę z cebulką! A ponieważ pijesz także herbatę kazałem także namoczyć tego zagranicznego ziela, chociaż radziłbym węgrzyna...

— Ale powiedz mi pierwéj, przerwał mu Maryan, co znaczy ta dziwna metamorfoza? Dom przeistaczasz.. i siebie także przestaiczasz... co to znaczy.

Maryan wskazał na książki.

Pan Krzysztof spuścił oczy i westchnął.

— Cóż robić, odparł, lepiéj późno, niżeli nigdy! Za młodszych lat nie uczyłem się tych specyałów... chcę przynajmniéj teraz z nimi się zapoznać!

— I jakże ci idzie czytanie?

— Zrazu bardzo źle, ale powoli zaczynam się, wprawiać. Gdym zaczął czytać Tadeusza to po dziesięciu wierszach spociłem się jak mysz, ale teraz dzięki Bogu lepiéj mi idzie. Zaczynam nawet smakować w takiéj rozrywce. Wczoraj czytałem Maryę i powiadam ci płakałem jak bóbr! Co to za śliczna historya! Tylko posłuchaj!...

Pan Krzysztof wziął książkę do ręki.

— Znam ją całą prawie na pamięć? ozwał się Maryan.

— Wiem że znasz, bo ciebie inaczéj uczono, a ja...

Pan Krzysztof machnął ręką, a duże dwie łzy błyszczały mu w oczach poczciwych...

Maryan spojrzał na niego i posmutniał. Metamorfoza domku i samego pana Krzysztofa miała cel widoczny...

— Chowano cię nie źle, rzekł po chwili Maryan, bo jesteś zacnym i poczciwym!

— Już tam poczciwości nikt mi nie odmówi, podjął pan Krzysztof osuszywszy łzy kułakiem, ale widzisz drogi przyjacielu... w świecie i między ludźmi portreba człowiekowi czegoś.. czegoś .. czego nazwać nie umiem, a co w takich książkach zazwyczaj bywa! Rozumiesz?

Maryan patrzał z uczuciem na poczciwego człowieka.

— Osobliwie, mówił daléj pan Krzysztof z uśmiechem dyplomatycznym, osobliwie z kobietami to bieda, jeżeli człowiek wygląda tylko jak wół z stajni wypasowéj!... A co czy nie mam racyi?

Maryan podał rękę zacnemu przyjacielowi.

— Nie zawadzi i z tych książek coś wziąść do siebie, rzekł do niego, przyda się to zawsze jedno do drugiego!

— Powiadam ci, po przeczytaniu tych kilku książek zdaje mi się, że daléj widzę, że coś nawet postrzegam tam hen po za gorzelnią i stajniami!...

Rozrzewniła Maryana ta prostota w wyznaniu pana Krzysztofa, ale rozrzewnieniu temu przeszkodził Marcinek, który w białym fartuchu i w białym birecie na głowie wniósł teraz do pokoju własnoręcznie mistrzowskie dzieło swoje i z dumą przed gościem postawił.

Pan Krzysztof nie pozwolił teraz Maryanowi ani słowa wymówić, tylko wraz z fotelem do talerza go przysunął.

— Jedz póki gorące, o poezyi będziemy późniéj mówić! zawołał nad nim i zniknął, aby z piwnicy przynieść najstarszego węgrzyna, który był wyłącznie pod jego nadzorem.

Za kilka chwil stała omszała butelka, późniéj nadciągnęła jajecznica, a na deser pojawiła się nalewka z herbacianego ziela, jak gospodarz herbatę nazywał.

Pan Krzysztof nie przeszkadzał teraz Maryanowi. Użył téj przerwy w rozmowie, aby co do noclegu wydać dla gościa potrzebne rozkazy i największe przygotować dla niego poduszki.

A gdy to wszystko już było gotowe, gdy i Maryan z wieczerzą już się uporał, tylko herbatę jeszcze popijał, kazał pan Krzysztof podać dwie duże fajki i usiadł przy gościu.

— Wracając do książek, ozwał się po chwili, szczerze żałuję, że drugiéj nie zacząłem czytać. Są tam piękne rzeczy, czas jakiś schodzi i człowiek coś zawsze skorzysta. A przyznam się, że dopiero... pani Eliza do tego mnie napędziła. Naturalnie, taka osoba poetyczna jak twoja siostra nie mogła mię darować, że ja wierszy nie czytałem! Otóż jadąc z Tuliwód pomyślałem sobie: Skurczę się we dwoje jak św. pamięci ongi nasz bakałarz Bardzicki, i będę czytał dzień i noc, aby przy powtórnem widzeniu się z panią Elizą takiego wstydu nie było!

— I jakże ci było z początku? zapytał Maryan z uśmiechem w którym malowało się rozrzewnienie.

— Z początku myślałem, że niepodołam. Bolały mi krzyże, nogi cierpły a przed oczami biegały stada jakoby komarów! Ale potem włożyłem się, chociaż wiele mnie to kosztowało! Za to gdy panią Elizę obaczę...

Pan Krzysztof utknął tutaj, jakby go coś za gardło nagle chwyciło. Nie powiedział nic więcéj, tylko przed siebie spojrzał i zamyślił się.

Zamyślił się także i Maryan. Ostatnie słowa przypomniały mu Wenecyą, dokąd miał jak najprędzéj wyjechać a równocześnie przypomniał także sobie w jakim celu do pana Krzysztofa przyjechał. Miał go prosić, aby podczas niebytności w majątku chciał go tymczasem zastąpić i nadzór nad fabryką gorzelnią i nad wołami wziął na siebie.

Korzystając więc z ostatnich słów pana Krzysztofa rzekł do niego:

— Wspomniałeś o Elizie, otóż zdaje mi się, że wypadnie mi zejść się z nią prędzéj od ciebie...

— Może niekoniecznie prędzéj! przerwał mówiącemu pan Krzysztof z pewnym tajemniczym uśmiechem.

— Ja może w tym tygodniu...

— A ja może jeszcze prędzéj...

Maryan spojrzał z zadziwieniem na pana Krzysztofa. Pan Krzysztof miał tak szczególny wyraz na twarzy, tak zagadkowy uśmiech igrał na jego

*) Przybytku.

ustach a w oczach błyszczało takie zadowolenie, jakby już z bliska szczęście swoje oglądał...

— Cóż to może znaczyć? pomyślał sobie Maryan i z pewnem zapytaniem spojrzał na pana Krzysztofa.

Pan Krzysztof zrozumiał spojrzenie, uśmiechnął się jak stary, wytrawny dyplomata i pociągnął ręką do jednéj z szuflad w biórku. Wyjął z tamtąd podłużnie złożony papier, rozwinął go i położył przed oczy Maryana.

Maryan rzucił okiem i obaczył, paszport do Włoch!

Osłupiał a potem posmutniał.

— Jakto? zapytał, jedziesz do Włoch?

— Tak... niekoniecznie do Włoch, cedził przez zęby zakłopotany dyplomata, właściwie jadę... w interesie do Wiednia!... A będąc raz w Wiedniu, pomyślałem sobie, trzeba przejechać się przez *Semmering*, bo to ma być kolej cudowna! A przejechawszy przez *Semmering* niedaleko do morza... przecież trzeba choć raz w życiu morze zobaczyć! Otóż tym sposobem być może, że zawadzę i o Wenecyę!

Gdy pan Krzysztof to wszystko mówił, miał oczy w ziemię spuszczone a niezwykły rumieniec na twarzy, jakby się czegoś wstydził lub nieprawdę mówił!...

Na twarzy Maryana było widać widoczne zmartwienie. Raz dla tego, że w podróży téj pana Krzysztofa widział pewne tajemne zamiary, nieudanie których mogło boleśnie zranić serce poczciwego człowieka, a powtóre, że tym sposobem pan Krzysztof stanął w poprzek własnym jego zamiarom.

Spostrzegł to pan Krzysztof i mocny frasunek odbił się na jego poczciwéj twarzy. Był pewny, że Maryan odgadł jego tajemne pragnienia i że tym sposobem daje mu do poznania niechęć swoją.

Westchnął z szerokich piersi swoich aż kilka arkuszy papieru z biórka spadły i z pewnym wyrzutem spojrzał na przyjaciela swego.

— Czy widzisz w tem co niedorzecznego? zapytał cichym, zaledwie dosłyszanym głosem, jakim nigdy jeszcze do Maryana nie mówił.

Maryan widział w oczach jego pojawiające się łzy.

— Zacny Krzysztofie, zawołał czemprędzéj podając mu serdecznie rękę, w téj podróży nietylko nic dorzecznego nie widzę, ale owszem widzę pragnienie człowieka, który... chce sobie sprawić pewną szlachetną i pożyteczną rozrywkę! Lepiéj w ten sposób coś stracić niżeli w karty lub na hulanki...

Rzewny smutek malował się teraz na twarzy pana Krzysztofa.

— Powiadasz, że lepiéj jest w ten sposób... stracić pieniądze! rzekł po chwili, a ja myślałem że mógłbym coś przy tem zarobić! A to byłby największy z moich wszystkich zarobków, jakiego pragnę w życiu mojem!

I szybko odwrócił się i odkrząknął jakby go coś za gardło dusiło.

Maryan był w położeniu bardzo przykrem. Widział teraz jasno zamiary pana Krzysztofa i w głębi duszy serdecznie im sprzyjał, ale nie chciał poczciwego człowieka zagrzewać do przedwczesnych nadziei, które mogły się bardzo smutnie skończyć. Udał więc że pana Krzysztofa nie rozumie i w ten sam sposób jak zaczął ciągnął daléj rozmowę.

— Z każdéj szlachetniejszéj rozrywki, mówił do niego, pozostaje zawsze pewien zysk, chociażby w pierwszéj chwili nie był widoczny. Szerszy horyzont, dalsze widoki świata i ludzi zostawiają w duszy przyjemne wspomnienia, do których człowiek w ciemniejszych chwilach życia z przyjemnością wraca!

— Ba, odparł pan Krzysztof, gdyby to były wspomnienia przyjemne! Ale gdy człowiek wejdzie na łąkę, aby tam kwiatek zerwać, a tymczasem na ukrytém szkle nogę skaleczy, to cóż ma za przyjemność wracać wspomnieniem do tego szkła zdradzieckiego? Możeby w takim razie lepiéj było iść na łąkę?... Co myślisz?

Maryan bębnił palcami po stole. Odpowiedź była bardzo trudna. Miałże stanowczą odpowiedzią odmówić przyjacielowi wszelkich nadziei? Do tego nie miał prawa, bo o przyszłości nie mógł wyrokować... A tymczasem patrzał na niego pan Krzysztof szeroko otwartemi oczami jakby stanowczego od niego wyczekiwał wyroku.

— Każda ostateczność nie jest dobra, rzekł po małéj pauzie Maryan, a ty skłonny jesteś jak widzę do takich ostateczności. Chcesz aby na łące, na któréj są kwiaty, nie było żadnych dla ciebie przeszkód a gdyby znowu ktoś ci powiedział, że na kilku morgowéj przestrzeni leży w trawie kawałek szkła, to już chcesz zrzeknąć się wszystkich kwiatów z obawy, że na to szkło natrafić możesz!... Cóż to za logika?

Roześmiał się z radością pan Krzysztof aż szyby zabrzęczały i uścisnął przyjaciela.

— Ho, ho, ho! krzyknął mu nad głową, jak ty dobrze mówisz kochany Maryanie! Jeżeli kto tak mało w życiu się uczył jak ja, ten jest głupi na takie rzeczy zaraz nos na kwintę spuszcza, bo myśli że rzecz mu się nie uda!... A ty słusznie mówisz, że człowiek przed czasem i przed lada jakiem niebezpieczeństwem niepowinien się cofać! Wytrwać i dotrzeć aż do mety! Nieprawda że tak myślałeś?

Jeszcze większe zakłopotanie opanowało Maryana. W niejasnych słowach jego widział pan Krzysztof widoczną zachętę. A takiéj roli nie chciał się podjąć Maryan, bo samemu byłoby bardzo boleśnie, gdyby zacny jego przyjaciel doznał smutnego niepowodzenia w zamysłach swoich.

Zanim jeszcze Maryan mógł się na jakąś jaśniejszą zdobyć odpowiedź, któraby poczciwego serca pana Krzysztofa boleśnie nie drasnęła a z drugiéj strony przedwczesnego nie obiecała mu zwycięztwa, był już w objęciach olbrzyma, który go do swoich szerokich piersi przyciskał jak dziecię lalkę swoją!

— Zacny i poczciwy jesteś jak zawsze, zagrzmiał nad nim, a teraz widzę, że mi dobrze życzysz jak bratu! Ale powiedz mi dla czego tak posmutniałeś, gdym ci o téj podróży mojéj wspomniał?

Maryanowi przyszła teraz szczęśliwa myśl do głowy. Zdawało mu się, że będzie mógł swój własny interes połączyć z interesem przyjaciela.

— Przyznaję się do tego, że posmutniałem, odpowiedział a nawet w téj chwili nie mogę jeszcze przyjść do tego, aby ci powód mego smutku objawić!

— Powiedz cóż ci to? z wielkiem współczuciem zapytał pan Krzysztof.

— Projekt twojéj podróży na południe... pokrzyżował moje projekta, z jakiemi tu przyjechałem!

— Pokrzyżował?... Jakież masz projekta?

— Więcéj niżeli projekta... bo obowiązki!

— Obowiązki? A mówże prędzéj!

— Miałem w tych dniach pojechać do Wenecyi...

— Do Wenecyi?... Wybornie! Pojedziemy razem!

— To być nie może!... Stajnia, gorzelnia, gospodarstwo!

— Prawda!

— Ojciec ma się gorzéj... Eliza pisała aby przyjechać...

— To jedź! Jedź! Jedź!...

— Ba.

— Wiesz co?... Jedź, a ja zostanę w Tuliwodach!

— Jakto?... A podróż twoja na południe?...

— To co innego! Moja podróż... to podróż dla mojéj własnéj przyjemności, a twoja podróż, z obowiązku dla rodziców! To co innego! Jedź, ja ciebie tutaj zastąpię!

— Miałżebyś pozbyć się takiéj przyjemności?

— Powiadam ci, zostanę. Będę siedział w gorzelni, będę chodził do wołów... wieczorami coś z tych książek przeczytam a przytem trochę... o was w Wenecyi pomyślę, i czas jakoś zejdzie! Powiedz tam tylko pani Elizie, że ja tutaj nie o samych wołach myślę! Powiedz jéj że mam kilkanaście książek z samemi wierszami! i że dotychczas, gdy wróci, wszystkich na pamięć się wyuczę! Rozumiesz? Powiedz to pani Elizie, aby o mnie lepszego nabyła wyobrażenia!

Maryana rozrzewniło to prawie do łez. Uścisnął serdecznie zacnego człowieka, który tyle dla niego umiał poświęcić! Przyjął to poświęcenie z dobrem sumieniem bo zdawało mu się, że takie wyjście z trudnéj sytuacyi będzie jeszcze najlepsze dla niego. Dla przyjaciela mógłby nad Adryatykiem coś przygotować, a gdyby to nie było możliwem, mógł mu oszczędzić bolesnego upokorzenia. W każdy sposób utajone marzenia pana Krzysztofa poszłyby w odwłokę, a tymczasem mogły się okoliczności korzystniéj dla nich ułożyć.

Ucieszył się Maryan tak zręcznem zażegnaniem grożącéj katastrofy a uściskawszy i ucałowawszy jeszcze raz przyjaciela, przyjął jego szlachetną, wspaniałomyślną nawet propozycyą. Oznaczył dzień swego wyjazdu za granicę, a pan Krzysztof przyrzekł dniem pierwéj przyjechać ze swemi książkami do Tuliwód, i oficyalnie zarząd gorzelni, stajni i całego gospodarstwa odebrać.

A gdy to wszystko już było umówione, szepnął jeszcze pan Krzysztof przyjacielowi do ucha, aby o pieniądze na podróż nie turbował się, gdyż w takim razie przeznaczone dla niego na przejażdżkę przez Semmering pieniądze będą do jego dyspozycyi.

Maryan chciał przeciw temu zaprotestować, ale pan Krzysztof zamknął mu usta głośnym pocałunkiem, i przyjacielowi dobranoc powiedział.

XV.

Gdy w ten sposób serca dwóch przyjaciół zwycięzko z niebezpiecznéj walki pod polskiem niebem wyszły, pod włoskiem niebem odbywała się także podobna walka, ale z daleko większym niepokojem. Tam zwycięztwo było prawie do przewidzenia, tutaj mogły nastąpić zawikłania, któreby zręcznie osnuty plan z jednéj strony a możliwe marzenia z drugiéj do szczętu rozbić mogły.

W tym samym prawie dniu, w którym tak piękna zgoda obu przyjaciół tem więcéj do siebie zbliżyła, groziła nad brzegiem Adryatyku, burza, któraby dwie przyjaciółki na zawsze z sobą rozłączyła.

Już od rana tego dnia była Eliza nadzwyczaj niespokojną. Chodziła zamyślona po swoim pokoju, a od czasu do czasu wychodziła na balkon i chmurnem czołem mierzyła dalekie morza przestrzenie. Była w takiéj chwili podobna do majtka, który na jasnym jeszcze widnokręgu szuka chmurki, mającéj mu przynieść burzę zapowiedzianą przez czulsze od oka żywe srebro!

Eliza była dzisiaj ubrana z wielką starannością. Na taki strój był owprawdzie trochę zawcześnie, ale widać, że Eliza nie chciała być zaskoczoną przez możliwe wypadki, jakich się spodziewała lub obawiała. Chciała być już gotową i wolała wcześniéj się przygotować, niżeli potem bez należytéj broni stanąć do walki, gdy tego potrzeba będzie.

Cała jéj uwaga była szczególnie na dwie strony

świata zwrócona: na wschód i zachód. Z balkonu patrzała tylko w te dwie strony, inne widoki wcale ją nie obchodziły. A przecież były one zajmujące. Tam od pełnego morza wypływał właśnie potwór trzymasztowy z dodatkiem maszyny parowéj, wpływał do wielkiego kanału jak widmo senne na ciche fale wpółuśpionéj wyobraźni!... Jeszcze buchała biała para z czarnego komina, ale siła téj pary już ustawała widocznie, bo okręt zaledwie się sunął, omijając ostrożnie na prawo i lewo oznaczone słupami mielizny... Na jego szerokiem pokładzie roiło się jak w mrowisku, czarne, mikroskopijne postacie snuły się tam i nazad a na siatce sznurowéj pojawił się czasem majtek jak pająk zawieszony u szczytu masztu!... Setki gondoli otoczyło w okamgnieniu potwór, który z drugiéj połowy świata przypłynął, czekając na zdobycz, ruszającą się na jego pokładzie. Po zdobycz zaś, ukrytą w jego dolnych komorach wysunęły się z dala szerokie, czarne galary, którym ustępowały z drogi szybkolotne gondole tak jak przed artyleryą pierszcha lekka konnica!... A śród tego ruchomego obrazu, niezależnie od spraw jego dumnie i spokojnie przeszywają wody statki parowe, jak istne wietrzniki, zostawiając za sobą bohatera zaatlantyckiego!...

Eliza nie patrzała na ten obraz. Często jednak patrzała do zwierciadła, w którém odbijała się cała jéj postać.

Była ona dzisiaj nie tak zadowolona jak zwykle ze swego zwierciadła. Z niepokojem patrzała na różne tylko wtajemniczonym znane tajemnice toalety. A przecież żadna modniarka nie umiałaby téj tualecie nic zarzucić. Był to kostium jesienny, z niemałą fantazyą zrobiony. Prawdziwie angielski *cheviot* koloru szafirowego tworzył przez swoją elastyczność wspaniałą draperyą, która się niczego nie mogła obawiać. Takiéj saméj barwy bucik wychylał się wyzywająco z pod licznych fałdów i fałdzików, które zawistnie ukrywały przed okiem jego egzystencyą... Z szafirowego także aksamitu leżał na stoliku opodal elegancki i tak lekki kapelusik, że mógłby przy lada jakim wietrzyku cały wielki kanał na drugą stronę przelecieć. Popielate rękawiczki, które przy kapeluszu leżały okazywały, że cały rynsztunek jest w pogotowiu na każdy wypadek.

W téj chwili stojąca na balkonie Eliza ujrzała na zakręcie wody gondolę z czarną budką. Po liberyi gondolierów poznała, że przeczucie nie omyliło jéj. Gondola zatrzymała się przy marmurowych schodach, a z budki wychyliła się eteryczna postać kobiety o złotych włosach.

Za chwilę witała Eliza serdecznie swego gościa którym była Flaminia.

Flaminia miała twarz ożywioną a w oczach wyraz niepokoju. Niepokój ten odbijał się nawet na jéj ubiorze, który dzisiaj był dosyć zaniedbany.

— Tak jak mnie kartka twoja zastała, ozwała się Flaminia, tak przyjeżdżam do ciebie! Widzę nawet że mi włosy się rozmotały... czy masz grzebień pod ręką.

Eliza podała jéj grzebień.

— Powiedz mi, jaki interes masz do mnie, pytała śród zajęcia Flaminia, bo ja obawiałam się, że ojcu jest gorzéj!

— Wcale nie, dzięki Bogu! odpowiedziała z uśmiechem Eliza, jest mu nawet w tych dniach daleko lepiéj.

— Jakaż była gwałtowna potrzeba, abym tutaj jak najspiesznićj przyszła? Może matka miała ten atak, który nam raz tyle strachu przyniósł?

— Wcale nie!

— Po cóż mnie wołałaś do siebie?

— Po co?... Miałam gwałtowną i niczem niezadowoloną potrzebę... widzenia i uściskania ciebie!

— Jesteś niepoprawna! Po cóż mnie było tak straszyć! Widzisz jak wyglądam! Gdyby w tej chwili ten... twój hrabia przyszedł, to mógłby się przestraszyć twojéj przyjaciółki!

— Nie lękaj się!

— A nawet wyglądasz na to, jakbyś kogoś oczekiwała... albo jakbyś wyjść chciała. Kapelusz i rękawiczki leżą w pogotowiu!

— Tak jest, za pięć minut byłabym wyszła, do ciebie!

— Cóż masz na sercu!

— To co zawsze, kocham ciebie!

— To nie dosyć!

— Czy ci to nie wystarcza? Jesteś niewdzięczną!

(*d. c. n.*)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Rozdział X.

Chwilowa nastąpiła cisza: przerwała ją Hedda podając myśl by czas oczekiwania skrócić przechadzką. Wniosek został przyjęty i wkrótce całe towarzystwo przechadzało się wzdłuż wybrzeża po wilgotnym jeszcze piasku. Paweł i Hedda szli naprzód jak zwykle, a porucznik i Klementyna coraz daléj zostawali za niemi.

Paweł rozdrażniony był poprzednią rozmową, obawiał się czy nie za otwarcie zdania swoje wygłosił, a jednocześnie żałował, że nie wyraźniéj jeszcze, nie bardziéj przekonywająco mówił. Prawie z roztargnieniem słuchał Heddy, zwracającéj jego uwagę to na niezwykłe oświetlenie nieba, to na morze lekko falą pomarszczone, to nareszcie na parę mew białych, które ciągle trzymając się brzegu towarzyszyły idącym, raz zanurzając się w wodę, to znowu w tysiącznych zwrotach, właściwych tym zręcznym ptakom, wznosząc się nad ciemną morza powierzchnię.

— Kto wypowiedział to zdanie: świat doskonałym jest wszędzie „gdzie człowieka z jego troską nie ma?“ zapytała Hedda.

— Nie wiem sąsiadko, zdaje mi się że Schiller. Zkąd to pani na myśl przychodzi?

— Myślałam nad tem, że stworzenia które z tak nieograniczoną swobodą poruszać się mogą, muszą być przecież zupełnie szczęśliwe!

— Nie mów pani tego panu von Elze, dowiódłby pani zaraz że jest przeciwnie, odpowiedział Paweł.

— Dlaczegóż to sąsiedzie?

— Gdyż prawdopodobnie te dwie mewy są małżeństwem, a zdaje mi się że stosunek taki, uważa porucznik za źródło wszelkiego możliwego nieszczęścia!

— Jesteś złośliwym sąsiedzie, prawda że pan von Elze nie wielkim jest przyjacielem małżeństwa, ale on z niczego zadowolniony nie jest; to nieszczęśliwe usposobienie tłomaczy zawód jakiego doznał ze strony pewnéj kobiety którą kochał, a któréj względy umiał sobie zyskać najlepszy jego przyjaciel. Był to pierwszy powód wszystkich jego niepowodzeń.

— Komu zawdzięcza pani te zajmujące szczegóły?

— Wiem to od Klementyny, gdyż porucznik nigdy nie uznał mnie godną swego zaufania.

— Niech to panią nie martwi. Więc dlatego że z własnéj winy nie jest szczęśliwym, to już nikt inny być nim nie może; a ponieważ owo małżeństwo przyjaciela nic w jego oczach nie warte, więc i wszystkie inne są bez wartości? Wyborna logika! nawet pomimo uznania Klementyny „nie przynosi ona zaszczytu matematycznéj głowie pana von Elze.“

— Ależ sąsiadzie, jesteś dzisiaj zanadto uprzedzonym do porucznika. Trudno mi pojąć aby jedna z jego zwykłych niestosownych uwag, tym razem tak bardzo pana oburzyć mogła.

— Wierzaj sąsiadko, że mam słuszne powody wzbudzające niechęć moją, dla porucznika.

— Jako przyjaciółka pana, mogęż zapytać o te powody?

Paweł zastanowił się chwilę. Czuł że wyjawiając przypuszczenia swoje, naraża się na wielką odpowiedzialność, bo na prawdę dowodów nie miał żadnych, a Hedda łatwo obrazić się mogła za nieuzasadnione a tak drażliwe domysły, tyczące się jéj przyjaciółki. Z drugiéj jednak strony, ostatnia rozmowa utrwaliła jego przypuszczenia; o szlachetności zaś swego zamiaru silnie był przekonany, a tak wielkie miał zaufanie w rozsądek młodéj dziewczyny i tyle na ten rozsądek liczył, że z tajemnicą swoją zwierzyć się jéj postanowił.

— Naprzód pozwól mi pani zadać sobie parę zapytań, odpowiedź na nie może uczynić zbytecznemi wszelkie inne wyjaśnienia.

— Pan mnie niepokoi! co to wszystko znaczy? rzekła Hedda i swemi ciemnemi oczyma pytająco spojrzała na niego.

— Co sądzisz pani o poruczniku, czyli raczéj jakie jest osobiste zdanie pani o jego charakterze?

— Trudne pytanie sąsiedzie, i doprawdy nie wiem jak mam na nie odpowiedzieć.

— Wybacz panno Heddo, niedyskretnym być nie chcę. Jeżeli ten przedmiot choćby cokolwiek był dla pani nieprzyjemnym, proszę powiedzieć a o czém innem mówić będziemy.

— Nie, nie sąsiedzie, z całą szczerością odpowiem panu, gdyż ufam mu najzupełniéj.

— Ja również, najzupełniejszą ufność w pani pokładam.

— Ufam do tego stopnia, że bez namysłu byłabym gotowa odpowiadać na wszystkie pytania pańskie, a jeżeli tym razem nie odpowiedziałam natychmiast, to jedynie dla tego że na razie myśli zebrać nie mogłam.

— Więc jeszcze raz powtarzam: co pani sądzi o jego charakterze?

— Nie ufam jemu. Nic złego o nim nie wiem, a jednak na nim polegaćbym nie mogła.

— I nie masz pani żadnego powodu dla którego mu nie ufasz?

— Właściwie żadnego, gdyż trudno brać za powód że dla mnie oczy jego mają coś w sobie zimnego, niemiłego, że tak są pełne egoizmu.

— Tylko Klementynie nie mów pani tego. Jéj przekonanie najzupełniéj się różni ze zdaniem pani.

Młoda dziewczyna stanęła i z przerażeniem patrzyła w twarz swego towarzysza.

— Sąsiedzie, co pan przez to rozumie?

— To jedynie, że gdy przedwczoraj wieczorem tę samą zrobiłem uwagę, Klementyna zaprzeczyła mi najwyraźniéj. Z tego wnoszę, że kiedy oczy jego tak dla nas wszystkich zimne, dla niéj jednéj takimi nie są, to albo ona innemi od nas wszystkich patrzy na niego oczyma, lub on spogląda na nią inaczéj jak na nas, albo jedno i drugie może?...

— Nie! tak nie jest! takie być nie może przekonanie pana! zawołała żywo przyspieszając kroku.

— Pani mnie nie rozumie, śpiesznie odpowiedział Paweł, wierzaj mi pani że Klementyna prawdziwego ma we mnie przyjaciela i dlatego wiele bolałbym nad tem gdybym sądził, że z powodu stosunku tego człowieka do niéj, cierpi na tem stosunek jéj do Gustawa. Dla nas wszystkich byłoby to bardzo przykrem, najprzykrzejszem jednak dla saméj Klementyny.

Łzy obfite spływały po twarzy Heddy; wydawała się boleśnie dotkniętą słowami Pawła i powtarzała tylko: tak nie jest, tak być nie może.

— Że tak jest, wcale nie twierdzę, ale się obawiam by tak nie było.

— Czy pan myśli, że Gustaw podejrzenie pana podziela?

— Tego się właśnie obawiam.

— I z czegóż pan wnosi?

— Uderza mnie to, że tak stroni od naszego towarzystwa. Nawał pracy nie może być jedyną tego przyczyną; na to co mu jest przyjemnem człowiek zawsze czas znajdzie. Wiem z pewnością, tak jak gdyby mi sam to powiedział, że porucznik stoi mu na zawadzie, a o ile go znam, jest on z tego rodzaju ludzi, co raz utraciwszy niezasłużenie to co najwięcéj ich obchodzi, zamykają się w sobie i o odzyskanie, chociażby raju, już się nie starają.

— W tym wypadku postępowanie takie, jest ani uczciwe, ani rozsądne?

— I ja na jego miejscu postępowałbym inaczéj.

— Co byś pan uczynił?

— Uczyniłbym wszystko by żonę moją przekonać jak wiele zależy mi na jéj miłości, i jak wiele na moją liczyć powinna;... a jeżeliby i wtedy nie miała jéj na względzie... wtedy...

— Cóż wtedy?...

— To „*wtedy*“ trudne jest do określenia. Ale podług mojéj w tym względzie teoryi, nie ceniłbym tak lekko własnéj godności, w obec takiéj straty stawiłbym coś więcéj niż dumną rezygnacyą.

— Czy wy mężczyźni postępujecie według myśli i słów waszych?

— A wy kobiety czy zawsze tą drogą idziecie?

— Nie!

— Wszakże tak mężczyźni jak i kobiety są ludźmi?

— Zapewne... Ale teraz chciałabym wiedzieć, co rażącego dostrzegłeś pan w postępowaniu Klementyny lub porucznika?

Paweł pobieżnie tylko udzielił jéj swoich uwag; nadmienił jak zaraz dnia pierwszego jedno słówko Gustawa obudziło w nim myśl pewną, jak myśl ta na pozór nieznacznemi okolicznościami popierana, powoli zamieniała się w prawdopodobieństwo, a nakoniec, nie bez wahania, opowiedział jéj widzenie jakie miał na łodzi wczorajszego wieczora.

Podczas tego pobieżnego opowiadania, widocznem było że dziwny jakiś niepokój opanowywał Heddę: bladła i czerwieniała naprzemian, parę razy otworzyła usta nie wydawszy i słowa, aż nareszcie z trudnością się odezwała:

— Ależ sąsiedzie, gdyby nasze postępowanie miał kto tak bezlitośnie sądzić!

— Ależ sąsiadko, wszak ani pani nie jesteś zamężną ani ja żonatym! z zadziwieniem odpowiedział Paweł.

Dziewczyna zarumieniła się mocniéj jeszcze, lecz nim odpowiedzieć mogła, nadszedł porucznik i Klementyna. I ich rozmowa nie musiała być obojętną, młoda kobieta równie jak Hedda miała zapłakane oczy a porucznik tak jak i Paweł spoglądał ponuro i z niepokojem. Wszyscy tak zajęci byli własnemi myślami, że nie zwracali na siebie prawie uwagi; a gdy w milczeniu weszli na szczyt zaspy, widok który się rozciągał daleko po za jodły, na całą wyspę, na morze w około i na oddalone wybrzeża, był tak czarujący, że i silniejsze wzruszenia ukoićby musiał, niż te któremi obecnie napełnione były serca tych czworga ludzi. Wczoraj wieczorem wychodząc z lasu ostatni raz widzieli słońce; dzisiaj dzień cały tak był pochmurny że godziny ranne, południowe i wieczorne, niczem się nie różniły od siebie, i teraz dopiero zanim zanurzyło się ono w morskie odmęty, na chwilę rozdarło gęstą mgły zasłonę, i nagle olbrzymie, fantastyczne masy chmur, piętrzące się jedne nad drugimi, zapłonęły jaskrawemi barwami, od blado-różowéj, aż do najciemniejszéj purpury. Pod tym oceanem płomieni spoczywało ciemno-błękitne, nieporuszone morze; ale tu i owdzie rozwinięte żagle, oddalone wybrzeża wierzchołki jodeł, maszty i okna domu komendanta, słowem wszystko co się nad powierzchnią wód wznosiło, wszystko kąpało się w różowym chmur odblasku. A gdy od zachodu na wschód się zwrócili, nad spokojnem, głębokiem, jak tajemnica morzem, ujrzeli różnobarwny łuk tęczy, która nietrwały swój ubraz odbijała w ciemnem wód zwierciadle. Niebawem świetna dnia gwiazda zatonęła w morskich otchłaniach, a z nią zniknął cały ów świat różowy, i z chmur wnet spadło kilka dużych kropel ciepłego deszczu. Czy i odwieczna natura zarówno jak człowiek, nietrwałe swoje szczęście, te krótkie chwile świetności, łzami okupić zmuszona? rzekła do Pawła zamyślona Hedda gdy spiesznie wracali do domu.

Rozdział XI.

Nazajutrz znowu deszcz padał. Jeżeli kto chce pojąć do jakiego stopnia dzień taki melancholijnie usposobić może, niech go przepędzi na samotnéj zaspie, wśród odludnego wybrzeża. Nawet pianie koguta, który z rodziną swoją skrył się pod łódź na ląd wyciągniętą, nie jest tym silnym gniewliwym głosem, którym się odzywa na wiejskim podwórzu, gdy się wesoło uwija wśród drabiniastych wozów: tu dźwięk jego ochrypły jest i żałośny. Na nieurodzajny piasek wybrzeża, nic deszcz pomódz nie może; jak przedtem tak potem tylko nędzne wydaje on chwasty; oprócz jodeł z których dzisiaj towarzystwo korzystać nie może, nie ma zupełnie drzew na Nedurze, jedynie tylko przed domkiem pierwszego sternika wyrasta pokrzywiona wiśnia, zaledwo na dziesięć stóp wysoka. Morze nad którem ciągną szare chmury, wygląda nieznośnie, rzuca krótkiemi falami jedne o drugie, a tak leniwo szumi u brzegu, że nawet zawzięty jego wielbiciel Paweł, nic w niem uroczego dopatrzéć nie może. I mewy również, nie bujają tak wesoło jak zwykle; nad wodami ciągną gnuśnie i ciężko, a krzyk ich bardziéj jeszcze przeraźliwy i smętny jak gdyby mówić chciały: do wilgoci przywykłe jesteśmy, ale czego nadto tego i za wiele!

Nawet i dzisiaj o téjże rannéj godzinie zjawiła się Hedda w ogrodowéj sali i usiadłszy na zwykłem swem miejscu w oknie po prawéj stronie drzwi szklannych, zajęła się robotą. Jeżeli jednak liczyła na towarzystwo Pawła to tym razem zawiedzioną została. Od owéj chwili gdy ze swych okien wspólnie wschód słońca podziwiali, pierwszy to raz Hedda spędzała ranek samotnie. Nasłuchiwała od czasu do czasu czy niedosłyszy otwierających się drzwi jego pokoju, lub nierozpozna kroków jego w sieni.

— Czyby on myślał że w te ponure, ciemne godziny mniéj się towarzystwa jego potrzebuje, jak w dnie pogodne, słoneczne? Wzięła książkę do ręki, miejsce gdzie wczoraj stanęli naznaczone było. Zaczęła czytać, ale niesłysząc głębokiego, miękkiego głosu Pawła, zdawało jéj się że wyrazy tracą właściwe znaczenie, a nie mogąc od czasu do czasu na młodzieńca podnieść oczu, zaledwie treść rozumiała, gdyż pełna wyrazu, ożywiona twarz Pawła, najlepszym była dla niéj tekstu komentarzem. Książkę opuściła na kolana i zamyślona patrzała przed siebie. Na dworze świszczący wiatr od czasu do czasu w okna uderzał, a szmer nieustannie o szyby bijącego deszczu, zagłuszał jednostajny szum morza. W domu panowała zupełna cisza, a w pokoju owo głębokie przerażające milczenie, w którem brzęczenie drzemiącéj muchy wydaje się głośnym szelestem. Hedda powstała zbliżyła się do fortepianu, ale zamknęła go po kilku akordach: dźwięk ich był tak ostry, niemiły. Smutna, niezadowolniona, rzuciła się w kąt sofy. Samotność, i cisza pokonały ją w końcu; ukrywszy twarz w poduszki serdecznie płakać zaczęła. Wkrótce usłyszała zbliżające się kroki, zerwała się szybko i starannie ślady łez otarła. Była to ładna pokojówka Klementyny, uchyliwszy drzwi spytała, czy panna Hedda nie zechce pójść do jéj pani?

Hedda zastała Klementynę już ubraną, pochyloną nad łóżeczkiem małego imiennika Pawła. Całą noc było dziecko bardzo niespokojne, rzekła, obawiam się by niezachorowało. Czy Paweł jest w sali?

— Nie, nie ma go.

— To szczególne, zwykle wstaje wcześnie!

— Pewno wkrótce nadejdzie.

— To proś go droga Heddo, niech zaraz popłynie na „Orła“ i Gustawa przywiezie z sobą. Wczoraj nic mi Gustaw nie mówił czy dzisiaj tu będzie, a pragnę bardzo pomówić z nim o dziecku.

— Ależ Klementyno, pogoda wcale wodnéj wycieczce nie sprzyja, przecież jednego z ludzi wysłać można.

— Prawda, jednak wolałabym żeby sam Paweł popłynął. Czy rzeczywiście czas taki brzydki, nawet niepomyślałam o tem. Drobny deszcz pada! rzecz niewielka, a zdaje mi się że dla mojéj przyjaźni raz jedyny chętnie zmoknie Paweł, choćby do suchéj nitki, jak myślisz?

Hedda klęczała obok łóżeczka, przy krześle Klementyny. Ramieniem swoim otoczywszy wiotką kibić przyjaciołki, rzekła z czułością spoglądając na nią: On ma tyle przyjaźni dla ciebie, że więcéj gotów jest uczynić!

— A ty Heddo, może byś go rada jedynie dla siebie tylko posiadać? spytała Klementyna gładząc lśniące włosy dziewczyny.

— Uchowaj Boże! czerwieniejąc odparła Hedda i podniosła się szybko. Dziś rano zupełnie go nie potrzebuję; wszak wiesz że to dzień przeznaczony na listy; a już od trzech tygodni nie pisałam do Olgi. Lecz jeżeli chcesz, z ochotą zostanę z tobą.

— Nie moja droga, pisz do Olgi, ja chętnie parę godzin sam na sam spędzę.

— Czy chcesz się z Pawłem widzieć? spytała Hedda już we drzwiach.

— Pragnę tylko by jak najprędzéj na „Orła“ popłynął.

Gdy Hedda do sali powróciła, śniadanie już było na stole, a Paweł stał w oknie.

— Jakto, już się wyspałeś sąsiedzie?

— Niezupełnie, czas tak okropny!

— To pewno nie miałbyś pan wielkiéj ochoty do Bageru popłynąć?

— Rzeczywiście trudno temu przeczyć!

— A gdyby tem poświęceniem, miał pan sobie zasłużyć na wdzięczność jednéj pięknéj pani?

— A jakiż dałaby mi pani dowód swéj wdzięczności?

— Mojéj wdzięczności? widzę że pan naprawdę niewyspany?

— A więc to Klementyna ordynuje mi tę kąpiel?

— Czy jedynie dla jakiéj drobnostki mam jechać, czy może Klementyna ma inny, ważniejszy powód? pytał Paweł ale Hedda niezważając deklamowała patetycznym tonem:

— O! Karl!

Wie arm bist Du, wie beldelarm geworden,
Seitdem du Niemand liebst, als dich!

— O! Karolu!

Jak biednym jesteś, jak żebraczo biednym,
Odkąd nad siebie, niekochasz nikogo!

— Piękna kobieta każe mu pośród lwów stanąć, a on pyta: na co? Każe mu do Charyldy skoczyć, a on chce wiedzieć, dla czego?

— Na czarodziejek natury wesoło bardzo niepogoda wpływa? rzekł Paweł żartobliwie.

— Tak mój dumny panie, odpowiedziała Hedda, każda kropla deszczu jest mi pociechą, gdy jestem smutna i samotna.

— Już co dzisiaj to téj pociechy nie brakuje wcale, rzekł Paweł. Ale bez żartu sąsiadko, dla czego dzisiaj koniecznie Klementyna chce widzieć Gustawa? Czy dlatego może iż na obiad będzie ulubiona jego potrawa?

— Nie, ale:

Am Fenster stand die Mutter
Im Bette lag der Sohn.
W oknie stanęła Matka
Na łożu spoczywał syn.

— Jakto, Pawełek chory?

— Tak utrzymuje Klementyna. Co do mnie nic groźnego nie spostrzegłam. Mimo to, zrób pan tę przysługę Klementynie i nietylko jéj jednéj; Gustawa koniecznie trzeba wyrwać z téj samotności, wszak pan wiesz:

„*Wer sich der Einsamkeit ergiebt,*
„*Ach der ist bald allein.*
Kto podda się samotności,
Ten wkrótce samotnym zostanie.

— Otóż nadchodzi i ojciec, on z pewnością najchętniéj przewiezie i przywiezie pana.

— Papo, wszak prawda?

— O co chodzi duszko? spytał komendant, który w téj chwili wszedł do pokoju, a świeżo ogolona, rozpromieniona twarz jego, prawdziwą tworzyła sprzeczność z niepogodą i deszczem na dworze.

Zaraz po kawie wyjechali panowie.

Na wyraźne życzenie Heddy Paweł włożył na siebie gruby marynarski kaftan, a głowę okrył cerato wym kapeluszem o szerokiem rondzie, jaki w tamtych stronach marynarze noszą. Hedda patrzyła przez okno, widziała ich obu wsiadających do wytwornéj łodzi komendanta, a gdy od brzegu odbili, nagle opuściła ją pustota, a oczy nanowo zaszły łzami.

— Nie, nie! wyrzekła gniewnie podnosząc główkę i wybiegła spiesznie do swego pokoju by napisać list do przyjaciółki, ukochanéj Olgi.

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

(Dalszy ciąg).

Niespodziany wypadek jaki zaszedł w pierwszym teatrze paryzkim nazywanym Comedie Francaise, wywołał w niektórych dziennikach tutejszych rozprawy, dotyczące przedmiotu miejscowego w całem znaczeniu tego wyrazu, jednem słowem klakierów wskazujących zebranym osobom piękniejsze miejsca odpowiednie do wywołania oklasków. Zbieg okoliczności był następujący.

Uczniowie szkoły politechnicznéj zażądali sto sześćdziesiąt miejsc na przedstawienie komedyi znanéj już w Warszawie pod tytułem *Fourchambault.* Wszystkie bilety prawie były już rozkupione, niepodobna było uczynić zadosyć życzeniu młodzieży w warunkach zwyczajnych. Pozostały jednak środki nadzwyczajne, to jest usunięcie z teatru stu trzydziestu klakierów i oddania miejsc przez nich zajmowanych do rozporządzenia przybyłych studentów. Niepodobna było żądać od uczniów szkoły politechnicznéj aby zastąpili klakierów, zwłaszcza że poprani we właściwe im mundury zniewoleni byli do zachowania należytéj powagi. Pomimo tego sztuka przyjętą była jak najlepiéj; artyści dramatyczni byli uradowani zniewalając publiczność samą siłą swego talentu, do oklasków będących największą nagrodą artysty.

Dyrektor zamierzył ponowić zrobioną próbę; gdyby się mógł obejść bez klakierów, to nietylko byłby zwolnionym od potrzeby opłacania takowych, ale nadto miałby więcéj kilkaset franków dochodu, skoroby miejsca przez nich zajmowane były rozprzedane. Następne zatem przedstawienia obyły się również bez klakierów. Przykład tego rodzaju mógł być bardzo zaraźliwy; gdyby wszyscy dyrektorzy teatrów paryzkich poszli za przykładem danym przez dyrektora teatru Comedie Francaise, to parę tysięcy klakierów pozbawionych byłoby zarobku w godzinach najmniéj odpowiednich do pracy, bo pomiędzy ósmą a dwunastą wieczorem.

Nadspodziewanie jednak znaleźli oni poparcie w jednéj ze znakomitości teatralnych pierwszego rzędu. Pan Franciszek Sarcey uważany za najzdolniejszego krytyka paryzkiego, napisał opracowanie wyrozumowane dowodzące konieczności utrzymania klakierów. Zarządy teatralne nie śmiejąc sprzeciwić się człowiekowi tego znaczenia, odstąpiły od powziętego zamiaru, utrzymując po dawnemu przewodników, do wskazywania publiczności miejsc piękniejszych w odgrywanéj sztuce.

Od jakiegoś czasu teatra paryzkie nie zanotowały w swéj kronice żadnéj sztuki zdolnéj wzbudzić ogólną uwagę. Okoliczność ta dozwala nam udzielić kilka ogólnych spostrzeżeń, dotyczących nagłych zwrotów w upodobaniach publiczności tutejszéj.

Niedawno temu sztuki będące popularnym wykładem geografii, geologii i t. p. nauk wprowadzały Paryżan w zachwyt prawdziwy Wszyscy biegli na wyścigi, aby zobaczyć sztukę pod tytułem „*Podróż na około świata w przeciągu ośmdziesięciu dni*“ lub inną, „*Dramat na dnie morskim.*“ Rodzice byli uradowani patrząc na wzrastające latorośle, zbierające wiadomości naukowe w miejscu najmniéj do tego odpowiedniem, bo w czasie przedstawień teatralnych. Zwrot jednak tego rodzaju mógł być tylko czasowym; komedye i dramaty przedstawiać powinny stronę moralną społeczeństwa, zostawiając wykład fizyki profesorom zajmującym się specyalnie tym przedmiotem. Niegodzwy Fraciszek Sarcey otrzeźwił Francuzów z tego zachwytu bez podstawy przytaczając dwuwiersz znajdujący się na jakiejś książce szkolnéj.

Nauka i zabawa dziecku nie dokuczy,
Skoro ucząc się bawi a bawiąc się uczy.

Paryżanie odczytawszy to określenie nowego zwrotu teatralnego, przestali uczęszczać na podobnego rodzaju widowiska. W narodzie wrażliwym jak Francuzi jedno słowo wypowiedziane trafnie w chwili właściwéj, może wywołać nadzwyczajne zmiany w zapatrywaniu.

Niewielka jednak korzyść wyniknęła z zaniedbania sztuk objaśniających widzów o różnych tajemnicach przyrody. Nastąpiony zwrot nie dał nowego rodzaju utworów, wskrzeszając tylko dawny obyczaj uwydatniania zdrożności moralnych w obrazach nadzwyczajnie jaskrawych. Pan Emil Montégut nazaczył zupełne podobieństwo czasów obecnych z dawniejszemi. Te same zawsze czynniki posługują do ułożenia komedyi i dramatów. Na przemian żona lub mąż nie dotrzymują wiary zaprzysiężonéj, przyjaciele lub przyjaciółki różnią stadła małżeńskie, dzieci naturalne w walce z dziećmi prawemi, te i tym podobne obrazy w różnych kształtach stanowią główny węzeł intrygi. Wszędzie bez wyjątku spostrzegamy czarną stronę, potarganie istniejących praw społecznych lub też głuchą walkę przeciwko takowym.

Pan Montégut jako człowiek nadzwyczajnie wyrozumiały i pobłażliwy, podobny stan literatury teatralnéj uważa za konieczny, z powodu szerokiego rozwoju na zachodzie wyobrażeń demokratycznych. Wedle niego w krajach, w których różnica stanów zrosłą jest z wyobrażeniami narodowemi, samo starcie różnorodnych żywiołów może dostarczyć licznych przedmiotów do dramatu. We Francyi różnicę pomiędzy ludźmi stanowi cnota lub występek, tem więc samem one jedynie mogą być podstawą utworu sztuki.

Określenie szanownego krytyka nie wytrzyma głębszego rozbioru. Ktokolwiek zna dobrze społeczeństwo francuzkie, to widzi właśnie konieczną potrzebę przeobrażenia w kierunku zgodnym z obecnemi instytucyami kraju. Szlachectwo chociaż pozbawione przywilei i zrównane w obec prawa, nie jest bez pewnego znaczenia moralnego; mieszczanki bogate chętnie wychodzą za mąż za podupadłą szlachtę, aby tylko przyimek *de* mogły stawić obok przyszłego swego nazwiska. Ordery przemawiają może jeszcze żywiéj do bujnéj wyobraźni narodu; wstążeczki czerwone przyozdabiające piersi jako oznaki legii honorowéj, są jeszcze prawdziwą słabością Francuzów. Niemający téj ozdoby szuka złudnéj pociechy zatknąwszy pąsowy gwoździk w dziurkę od tużurka. Kiedy po ogłoszeniu obecnéj rzeczypospolitéj, jeden z dzienników tutejszych powstał przeciwko téj chęci odróżniania się od ogółu, to zniewolonym był do milczenia, tylu bowiem *republikanów* objawiło niechęć z powodu niewłaściwego podniesienia kwestyi, tak drażliwéj. Przeobrażenie nastąpi wkrótce, rękojmią w téj mierze są dzisiejsi rządzcy Francyi: w kraju tym więcéj niż gdzieindziéj wyobrażenia i obyczaje płyną z góry: potrzeba jednak pewnego czasu jeszcze, aby społeczeństwo pozbyło się upodobań zakorzenionych od wielu wieków. Dzisiaj niepotrzeba odbywać podróży aż do dalekiéj północy, aby znaleźć starcie różnorodnych żywiołów społeczeństwa. Nad brzegami Sekwany lub Loary można znaleźć obfite materyały, aby tylko autorowi nie zbywało na zdolnościach psychologicznych, sile twórczéj i umiejętności odgadywania z drobnych zarysów ujawnionych całéj potęgi tajonych uczuć. W braku tych przymiotów, lub też z powodu zbytniego pośpiechu w pracy w widokach prostéj spekulacyi, literaci dzisiejsi nie myślą o zachowaniu warunków estetycznych, o dźwignięciu społeczeństwa na wyższy stopień rozwoju; ale jedynie tylko o zajęcie *publiczności*, w nadziei znalezienia *obstalunków* na nowe utwory. Zola do powieści swéj z któréj niedawno ułożono dramat, wprowadził różnego stopnia kryminalistów jawnych i tajemnych; zaiste zdaje się jakby autor szukał natchnienia w pośród mieszkańców galer, i wedle ich opowiadań rysował charaktery i przebieg wypadków.

W ostatnich też czasach zmęczona uwaga szczególniéj w wykształceńszych warstwach społecznych

zbyt szpetnemi obrazami zapragnęła wypoczynku i odetchnienia zdrowszem powietrzem. W tym celu zwrócono się do przeszłości szukając w dawnych klasykach więcéj ożywczego pokarmu. Można nawet dojrzéć niektóre choć drobne utwory oparte na zupełnie odmiennych zasadach aniżeli prace Zoli.

(d. c. n).

REDAKCYA
„Książki jubileuszowéj J. I. Kraszewskiego."

Podaje do powszechnéj wiadomości, że już rozpoczyna druk tego wydawnictwa, które mniéj więcéj na czterdziestu arkuszach wielkiéj ósemki zawierać będzie, oprócz obszernego życiorysu jubilata, obraz wszechstronny jego działalności literackiéj, przedstawiony w studyach i sprawozdaniach, traktujących o utworach jego w każdéj gałęzi piśmiennictwa, a złożonych przez trzydziestu przeszło pisarzy, którzy pomiędzy siebie rozdzielili tę pracę, zaolbrzymią na siły pojedyńcze.

Pisarze ci są następujący: Piotr Chmielowski (który dał studyum o pierwszem dziesięcioleciu zawodu pisarskiego Kraszewskiego), Maryan Gawalewicz, Stanisław Grudziński, Dyonizy Henkiel, Edward Lubowski, Walerya Marrené, Eliza Orzeszkowa (o powieściach obyczajowych), Kazimierz Kaszewski (o powieściach ludowych), Tadeusz Korzon (o powieściach z dziejów rzymskich), Władysław Nehring (o powieściach historycznych z XVI i XVII wieku). Kazimierz Jarochowski (o powieściach z epoki saskiéj), Władysław Smoleński (o powieściach z epoki Stanisławowskiéj), Michał Bobrzyński (o cyklu powieści historycznych), Wincenty Korotyński (o utworach poetycznych), Władysław Bogusławski (o utworach dramatycznych), Jan Karłowicz i Konstancya Skirmuntówna (o dziejach Litwy i Litwie za Witolda), Adam Kirkor (o historyi miasta Wilna), Jan Kazimierz Plebański (o pamiętnikach historycznych), Henryk Struve (o poglądach filozoficznych Kraszewskiego), Roman Plenkiewicz (o studyach literackich i krytyce), Wojciech Gerson (o pracach Kraszewskiego, odnoszących się do historyi i teoryi sztuk pięknych), Antoni Bądzkiewicz (o podróżach po kraju), Józef Łepkowski (o pracach archeologicznych), Kazimierz Wójcicki (o projekcie Encyklopedyi starożytności polskich), Włodzimierz Spasowicz (o redaktorstwie Ateneum), Edward Sulicki (o redaktorstwie Gazety polskiéj), Jan Zacharyasiewicz (o typach kobiecych w powieściach Kraszewskiego), Aleksander Kraushar (o zapatrywaniu się Kraszewskiego na kwestyą żydowską), Aleksander Tyszyński (Kraszewski w Warszawie r. 1846), Jan Gloger (czasy szkolne w Białéj), Hipolit Skimborowicz (bibliografia wszystkich pism Kraszewskiego), Adam Pług (życiorys jubilata).

Książka ta ozdobiona będzie dwudziestu drzeworytami, przedstawiającemi jubilata w czterech epokach jego życia, prababkę jego Nowowiejską i babkę Malską, które pielęgnowały go w leciech dziecinnych, jako też portrety jego rodziców; nadto zaś następujące widoki: domu przy ulicy Aleksandryi w Warszawie, w którym się Kraszewski urodził, oraz różnych miejscowości, z życiem jego związanych, mianowicie: Romanowa, Dołhego, zamku Radziwiłłowskiego w Białéj, gmachu uniwersyteckiego w Wilnie, Horodca, Omelna, Gródka, Hubina, Kisiel, willi w Dreznie i wnętrza gabinetu. W końcu zaś dołączone będą trzy facsimilia pisma jubilata: z lat dziecinnych, młodzieńczych i dojrzałych.

Przedpłata na to wydawnictwo pamiątkowe, nad którego znaczeniem i wartością rozwodzić się byłoby z naszéj strony rzeczą niewłaściwą, w stosunku już do samych rozmiarów dzieła i obfitości rycin, jest nadzwyczajnie nizka, gdyż wynosi tylko za egzemplarz broszurowany w Warszawie rubli 3, na prowincyi rubli 3 kop. 50; za oprawę zaś w ciemne płótno angielskie dopłaca się (w razie żądania) kop. 75, w jasne rs. 1.

Cena tak przystępna ustanowiona została dla jak najszerszego rozpowszechnienia Książki jubileuszowéj, któréj celem jest: nietylko upamiętnić rocznicę półwiekową jednego z najprzedniejszych i najzasłużeńszych naszych pisarzy, ale też i dać poznać ogółowi, w pełnym, choć treściwym obrazie działalności tego pisarza, cały ogrom jego pracy, znakomitość talentu i doniosłość zasługi, o których niewątpliwie mało kto z czytelników zwyczajnych sam przez się mieć dokładne może pojęcie; bo ileż na to czasu i jak wszechstronnego ukształcenia potrzeba, aby przeczytać i ocenić to wszystko, co ten umysł potężny w ciągu lat 50 wytworzył!

Wiedzieć wszakże należy, iż ta przystępność ceny, niepraktykowana przy zwykłych wydawniczych warunkach, tu się stała możliwą, dzięki tylko chwalebnéj ofiarności naszych wydawców, drukarzy i księgarzy, z których pan Gracyan Unger wziął na siebie bezinteresownie druk książki, inni zaś złożyli fundusz na papier, drzeworyty i t. p.; zbytecznie zaś powiadać, że między pisarzami, którzy udział w téj pracy wzięli, nie było ani mowy o honoraryum.

Ubliżylibyśmy więc naszéj publiczności, gdybyśmy przypuszczali, że nie zyska u niéj sympatyi książka, w taki sposób zebrana i wydana, tak cenna a niedroga, mająca zaś na celu, obok uczczenia jubilata, przysporzenia mu środków do opędzania się troskom powszednim i do zaspokojenia niejednego z tych wzniosłych pragnień, w których dobro powszechne łączy się z błogiem zadowoleniem duszy.

Nie nawołujemy przeto i nie zachęcamy prenumeratorów, których sporą liczbę już mamy, a wśród których gubernia łomżyńska z ofiarą swą dochodzącą do dwóch tysięcy rubli, jaśnieje najpiękniejszym przykładem; ostrzegamy tylko, że za kilka tygodni przedpłata już będzie zamknięta, a zatem, kto się spóźni, ten samemu sobie winę przypisze, iż nie będzie już mógł posiadać téj szacownéj pamiątki, która się nie znajdzie w handlu księgarskim.

Przedpłatę można składać w redakcyach pism i w znaczniejszych księgarniach Warszawskich.

Upraszają się wszystkie czasopisma, aby raczyły powtórzyć niniejsze ogłoszenie.

SZARADA
ułożona
PRZEZ
Ludwika Niemojowskiego.

Dziecię lube, córko droga,
Kto wyrasta w marnéj dumie,
Ten uchybia woli Boga,
A czem *wszystka* nie rozumie.
Dziś gdy parta siłą własną,
Dąży naprzód ludzkość cała,
Prawdę powiedzieć ci jasno,
Pierwsza trzecia już nastała.
Czas iść w ślad zacnych pokoleń,
Czas przerwać zastoju ciszę,
Lecz niech żadna wśród wyzwoleń,
Marnéj się nie podda pysze;
Bo jak *druga trzecia* rdzenie
Drzew kryje powłoką twardą,
Tak pycha wasze sumienie
Otoczy powłoką hardą.
Kształcić się więc w nauk treści,
Zbierając wiedzy wawrzyny,
Ale niech pryzmat niewieści,
Wszystkiéj, zdobi wasze czyny.

Ogłoszenia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz duży z krojami odnoszący się do NN. 18 i 19.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 17 Апрѣля 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 18, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE

PRZEZ

M. A. Fleming

przekład z Angielskiego.

PRZEZ J. B.

Tom I.

Część pierwsza.

PROLOG.

Czy widział kto kiedy równie szalone ożenienie.
Schakespeare.

Opowiadanie Joanny Kennedy.

„Domek położony w małéj dolinie u stóp wzgórza uwieńczonego posępnemi sosnami, otoczony drewnianym parkanem, z dwoma oknami w szczycie, które z daleka wydawały się jakby dwoje ponuro patrzących oczu, znany był wszystkim pod tą dziwną nazwą: Dom którego nikt nie chce wynająć.

„Nie stał ani przy ulicy ani przy drodze. W pewnéj odległości od miasta Kwebek, po za bramą św. Jana, idąc ulicą tejże nazwy wychodzi się na pole, wśród którego ciągnie się wązka ścieżyna wysadzona karłowatemi cedrami i sosnami; uszedłszy nią ćwierć milki, dochodzi się do Saltmarsch... to jest do owego domku którego nikt nie chce wynająć.

„Jest to miejscowość posępna i wcale nie powabna, odległa i zupełnie odosobniona, ale to nie objaśnia jeszcze dla czego domu tego nikt nie chce wynająć.

„Właściciel téj nieruchomości, pan Barteaux, utrzymał ją w porządku. Po za domem roztaczał się wielki ogród warzywny, który starannie urządzony mógł w dwójnasób powrócić cenę komornego. W pobliskim lasku było bardzo wiele zwierzyny; a w przepływającym go strumieniu wielka obfitość ryb. Pomimo to nigdy żaden zwolennik polowania ani rybołówstwa nigdy nie obrał tu sobie mieszkania. Chociaż dom i otaczająca go miejscowość przedstawiały się nader ponuro, nikt jednak nie śmiał zapewniać że się tam ukazują widma i strachy. Nigdy nie pokazał się w oknie jakiś straszny upiór potrząsający grobową pochodnią, nigdy żadne przerażające krzyki lub odgłosy nie zakłócały ciszy nocnéj, a w pustych pokojach nie pojawiało się widmo jakiéj kobiety w bieli, pokutującéj za winy naddziadów. Nigdy także żadna zbrodnia nie została tam spełnioną, żadna legenda nie była przywiązaną do Saltmarsh, którego historya była nader prozaiczna i pospolita. A jednak mimo to rok za rokiem upływał a karta z napisem:

Dom do wynajęcia

nigdy nie opuszczała posępnéj bramy wchodowéj, gdyż żaden lokator się nie przedstawiał.

— „Tom Grimshaw musiał chyba zwaryować w chwili gdy kazał stawiać tę szkaradną chałupę, mruczał sobie nieraz ówczesny właściciel; coroczne podatki, reparacye i ubezpieczenie więcéj mnie kosztują niż ona warta, i niezawodnie do dnia sądu ostatecznego nie znajdzie się lokator ani nabywca. Zdawałoby się że te otaczające drzewa, podobne owym strażom strzegącym Helheimu, o których mówi mitologia Północy, wołają do przechodniów: Ktokolwiek przekroczy progi tego domu, zgubiony!

„Gdyby mowa taka, obudziła czyjąś ciekawość i gdyby zapytał właściciela jakie są dzieje tego domu, oto coby mu odpowiedział.

— „Dom ten kazał postawić stary Tom Grimsham, który był moim wujem, Panie świeć nad jego duszą... Sądzę że może na tamtym świecie cieszy się on większą dozą zdrowego rozsądku niż ta jaką obdarzony był na jawie. Kobiet nie cierpiał i lękał się więcéj niż my oboje djabła. Nie wiem co za szatańskiéj winy musiały się one lub jedna z nich dopuścić względem niego, ale to pewna że musiało to być coś nader ważnego i złego, jak to zresztą jest u kobiet zwyczajem, dość że sam widok kobiety sprawiał na nim podobne wrażenie jak kawał czerwonéj materyi na rozwścieczonym buchaju. Nabył prawie za nic ten grunt błotnisty, wystawił na nim to brzydkie domisko, i zabarykadowawszy się tem drewnianem ogrodzeniem, żył tu i umarł jakby jaki Diogenes lub Robinson Kruzoe, albo wreszcie jaki bądź pustelnik. Nieruchomość ta dostała mi się w spadku jako najbliższemu krewnemu, śliczna mi sukcessya! Domu tego nikt nie chce wynająć, nieprzynosi więc żadnego dochodu, a mimo to muszę przecież go utrzymywać... daj go katu! wolałbym żeby już wujaszek Tom Grimshaw był go tam zabrał z sobą, bez względu w jakim znajduje się świecie.

„Oto cała historya Saltmarsch. Przez ośm lat wisiała karta oznajmiająca że jest do najęcia, mimo to nikt go nie najął.

„Szary, ponury, opustoszały, wystawiony na wszystkie wiatry, oto jak zawsze dom ten przedstawiał się moim oczom przez ostatnie lat dwadzieścia, i takim też widziałam go owego wieczora o którym mówię osłonięty tajemniczą zasłoną swego opuszczenia, z zawsze otwartemi w szczycie oknami... temi przerażającemi jak otchłanie oczami ponuréj i milczącéj fasady. Od lat dziecinnych dom ten wywierał na mnie dziwne jakieś wrażenie... przejmował mnie przerażeniem i trwogą jakby pałac Sinobrodego. Szczególna rzecz zgroza jaką we mnie budził, zamiast ustawać potężniała z biegiem lat, i dziś, kiedy już mam lat dwadzieścia siedm, odczuwam ją silniéj jeszcze niż gdy byłam siedmioletniem dzieckiem.

„Było to w miesiącu lutym; wieczór był ciemny i zimny. Przejmujący wiatr wiał od zatoki na wyżynach Kwebegu i na ponurą ścieżkę którą zdążałam w kierunku wiatru. Na zachodzie, blade zasępione słońce, zachodząc po za horyzont, przerzynało tu i owdzie szare obłoki żółto-czerwonemi smugami; długi promień tego kryjącego się słońca, przedarłszy się przez gałęzie sosen, padał na szyby Saltmarschu, nadając im jakiś miedziano złotawy odcień.

„Spieszyłam się do domu; szłam ze złą wieścią, a te zazwyczaj przybywają szybko. Śnieg zaczął padać; zimno było przejmujące. Noc zapadała, miałam jeszcze z pół milki drogi do przebycia, mimo to widok Saltmarschu nie omieszkał wywrzeć na mnie zwykłego wrażenia. Zatrzymałam się i spojrzałam w tamtą stronę, aby uj-

rzeć dwoje czerwonych oczu cyklopa i dwa czarne sterczące nad niemi szkaradne kominy.

— „Dom ten wygląda jak przeklęty, pomyślałam sobie; możnaby w nim popełnić tuzin morderstw i niktby się nie dowiedział o tém. Zdaje mi się że chyba nie znajdzie się na świecie człowiek, któryby chciał tu kiedykolwiek zamieszkać.

— „Wszak dom ten jest do najęcia?

— „Nie jestem bojaźliwa, jednak dreszcz mnie przebiegł gdy usłyszałam to zapytanie, choć było wymówione łagodnym głosem. Nie słyszałam nikogo nadchodzącego, a przecież kobieta jakaś stała za mną na pokrytéj śniegiem steczce.

— „Przepraszam... widzę przestraszyłam panią. Już od kilku chwil przyglądam się temu domowi, wszak jest do najęcia?“

„Odsunąwszy się o kilka kroków przypatrywałam się nieznajoméj, zadziwienie nie dozwalało mi przemówić. Zobaczyć w Saltmarsh w tak zimny i ciemny wieczów, kobietę nieznajomą, a jeszcze taką jak stojąca przedemną—wydawało mi się to czemś nadzwyczajném, prawie nadprzyrodzoném... Stałam wpatrując się w nią i pomyślałam co do dziś dnia myślę i zawsze myśleć będę, że patrzyłam w téj chwili na najpiękniejszą twarz pod słońcem.

„Powiedziałam że była to kobieta... właściwiéj należałoby powiedzieć: młodziutkie dziewczę; nie wiem w jakim była wieku, ale wyglądała najwyżéj na lat siedmnaście. Była wzrostu średniego, szczupła, wysmukła, i to może nadawało jéj tak młodocianą postać. Miała na sobie czarną aksamitną suknię, z długim po śniegu wlokącym się trenem, krótki, kosztownem futrem podbity paltocik, sobolowe boa i takąż mufkę; na głowie czarny aksamitny kapturek obłożony sobolami i podszyty ponsową materyą—ale kosztowny ten strój niczém był w porównaniu jéj zachwycającéj piękności, będącéj jakby udowodnieniem jak niezrównanéj doskonałości mogą dosięgnąć wdzięki kobiety.

„Tyle już lat upłynęło od owego wieczora, a prześliczna twarz jaką tak niespodziewanie ujrzałam wówczas, dodąt stoi mi przed oczami i nigdy nie zatrze w mojéj pamięci. Wielkie iskrzące się czarne oczy, patrzące nieco dziko, płeć alabarstrowa, maleńkie koralowe usteczka, czoło wązkie, nos prosty, powabny dołek na brodzie, małe ząbki lśniącéj białości, wszystko to objawiło mi się nagle, w téj chwili zrozumiałam że od czasu Samsona mężczyzny mogą szaleć, tracić zdrowie, majątek, życie, nawet honor i zbawienie dla podobnie zachwycających kobiet. Zmrok zapadł gdy szczególna ta pretendentka do lokalu który się nie wynajmował ukazała się moim oczom.

Myśli te jak błyskawica przemknęły w moim umyśle, w chwili gdyśmy stanęły naprzeciw siebie. Przemówiła znów do mnie swoim słodkim, nieco przewlekłym głosem, ale tym razem przebijał w nim już pewien odcień zniecierpliwienia.

„Przepraszam, ale nie odebrałam odpowiedzi na zapytanie moje czy dom ten jest do najęcia?

— Widać pomyślałam sobie, ta pani nie jest przyzwyczajona czekać na cośkolwiek, choć nie wiem jakie zajmuje stanowisko.

— Sama widzę że jest do najęcia, dodała z większą jeszcze niecierpliwością, ale czy jest tam kto teraz?

— Już od ośmiu lat nikt nie mieszka w tym domu, odpowiedziałam.

Czarne jéj źrenice, wpadające prawie w pomarańczowy odcień, rozszerzyły się; spojrzała to na mnie, to na ponury pusty dom, zapytując:

— A to dla czego?

Wzruszyłam ramionami.

— Czyż patrząc na ten dom, potrzeba pytać o powód jego opuszczenia? Któżby chciał mieszkać w miejscu tak odległem i osamotnionem?

— Kto?... ja! Tu nikt mnie nie znajdzie!

Powiedziała to cicho, więcéj sama do siebie niż do mnie, obrócona twarzą do opuszczonego domu. Uderzyła mnie bladość jéj twarzy. Nie była to bladość chorobliwa lub towarzysząca pownym temperamentom, był to koloryt jaki nadaje twarzy uczucie gwałtownego wrażenia lub przestrachu.

„Tu nikt mnie nie znajdzie, powtórzyłam w myśli!... o to pewna! A zatem, moja piękna pani, obawiasz się czegoś i pragniesz się ukryć. Jesteś nadzwyczaj piękna, o ile można wnosić z ubioru, jesteś bogata i należysz do istot uprzywilejowanych, ale kimże być możesz i co tu porabiasz?“

Zagasły zupełnie ostatnie promienie zachodzącego słońca, szare, ciemne, posępne zimowe nieboroztaczało się nad naszemi głowami, jakby żałobny baldachim; pare płacht śniegu padło z coraz więcéj zachmurzającego się nieba; noc i zawieja zbliżały się olbrzymim krokiem, a ja miałam jeszcze z pół mili do domu.

— Jeźli pani pragnież zasięgnąć objaśnień co do tego domu, najlepiéj udać się do pana Barteaux, mieszkającego w Kwebeku, przy ulicy ś. Łazarza. Jest on jego właścicielem, pragnie, bardzo dom ten wynająć i ucieszy się niezawodnie że nareszcie znalazł lokatora.

„Nic nie odpowiedziała, nie wiem nawet czy słyszała co powiedziałam. Stała nieruchoma, z rękami ukrytemi w mufce, zapatrzona posępnie w pobielony parkan, profil jéj rysował się na szarym tle zmroku, jakby wykuty z białego marmuru.

„Z własnego doświadczenia, nie znam ani rozpaczy ani namiętności, ale to pewna że w twarzy jéj i spojrzeniu gwałtowna malowała się rozpacz.

Odeszłam zostawiając ją samą. Ta piękna pani zaintrygowała mnie bardzo, mimo to nie mogłam przecie stać w polu nie wiedzieć jak długo i czekać żeby mnie noc tak zaskoczyła. Biegnąc prędko pustą drużyną, raz obejrzałam się na nią. Stała ciągle nieruchoma, tworząc jakby czarny punkt na śniegiem pokrytéj ziemi.

— Zawsze jest w tem coś podejrzanego, pomyślałam sobie. Kto ona może być i co ją tu sprowadza? Nie jest ani żoną ani córką któregoś stojących tu garnizonem oficerów, znam wszystkie, widywałam je u majora... Nie wiem, ale zdaje mi się że chyba pan Barteaux nie zechce wynająć swego domu podobnéj lokatorce.“

„Wkrótce zatarła się w moim umyśle myśl o téj tajemniczéj piękności, gdy w polu, zabłysło mi w oddali czerwonawe światło z domku mojéj matki, teraz o tem tylko myślałam, że mam jéj zwiastować złą wiadomość:

„W téj dziwnéj opowieści jaką obowiązek spisać mi nakazuje, muszę i o sobie powiedzieć słów kilka. Nazywam się Joanna Kennedy; miałam wtedy lat dwadzieścia siedm i byłam jedyną podporą mojéj biednéj staréj matki i dwunastoletniéj siostry.

„Za młodych lat, matka moja była guwernantką w rodzinnem swojem mieście, Glasgowie; wychowała mnie starannie w nadziei że kiedyś lepsze zajmę stanowisko i dała zwykłą angielską edukacyę, to jest nauczyła mnie mówić po francuzku z czysto szkockim akcentem. Po śmierci ojca mego, dziesięć lat przed opisywanem zdarzeniem, zmuszona byłam pójść do obowiązku i od owego czasu zawsze w nim pozostaję.

Owego wieczora pilno mi było dojść do domku matki; chciałam ją i siostrę moją zawiadomić że straciłam miejsce a nie miałam na widoku żadnego innego. Oto cała historya Joanny Kennedy, o ile ona może interesować czytelnika.

„Śnieg wszystko do koła białym pokrył całunem gdy zapukałam do domku matki. Jakże w nim było miło i wesoło! Jasny ogień płonął na kominie. Na środku pokoju stał stół nakryty do herbaty, któréj woń aromatyczna rozchodziła się do koła. Matka siedziała z pończochą przed kominkiem, a siostrzyczka moja Józia stała przy stole, pośpiewując. Zobaczywszy mnie wchodzącą, obie wydały okrzyk zadziwienia.

— „Joanna!

„Józia jednym skokiem rzuciła mi się na szyję twarz kochanéj matki mojéj zajaśniała radością.

— „Joanna! na taki szkaradny czas i tak późno!.. Czyś ty sama przyszła?

„A któż miał mi towarzyszyć, siostrzyczko?... Tak, przyszłam sama i pewnie na dłużéj niżbyśmy wszyscy chcieli... Matko kochana, dodałam, straciłam miejsce.

„Co ty mówisz, Joanno?

„Nie mam sobie nic do wyrzucenia, droga matko, odrzekłam, ale przykro mi o tem mówić. Pani Englehart przyszła śmieszna ochota być zazdrosną o mnie, o mnie biedną i poczciwą Joannę Kennedy. Sam major, jest to zacny i dobry człowiek, raz czy dwa powiedział mi pare przychylnych słówek, i oto co z tego wynikło... Ależ nie mówmy już o tem. Jutro rano pójdę do Kwebeku, i bądź co bądź, muszę znaleźć sobie jakiś inny obowiązek. A teraz, siostrzyczko Józiu, chciałabym bardzo dostać szklankę gorącéj herbaty.

„Nie chcąc zdradzić wzruszenia i bojąc się rozpłakać, zaczęłam nadrabiać miną i śmiejąc się zrzuciłam okrycie i kapelusz, poczem usiadłam przy matce. W téjże chwili tak gwałtownie zapukano do drzwi, że przestraszona Józia o mało nie upuściła imbryka.

„Ach! Joanno, kto to być może.

„Wstałam i otworzyłam drzwi, w téjże chwili cofnęłam się przerażona, światło lampy i płomienia padło i oświeciło jasno bladą twarz pięknéj nieznajoméj którą widziałam przed domem do najęcia.

— „Czy mogę wejść? zapytała.

„I nie czekając odpowiedzi weszła i przeszedłszy koło mnie, podeszła do kominka i stanęła przed ogniem. Jéj futro i suknia pokryte były śniegiem; strząsnęła go z mufki, zdjęła rękawiczki, i wysunęła ku płomieniowi swe białe, małe rączki na palcach których błyszczały pierścionki z brylantami.

„Matka moja przypatrywała się z zadziwieniem temu olśniewającemu zjawiskowi. Józia stała nieruchoma szeroko otworzywszy oczy i usta, a przyznać muszę że i mnie serce biło gwałtownie! Co była za jedna i czego od nas chciała? Stała jak skamienia a zapatrzona w ogień. Nareszcie pojmując iż wypada koniecznie aby ktoś rozpoczął rozmowę, odważyłam się przemówić.

„Śnieg panią zaszkoczył w drodze, rzekłam podsuwając jéj krzesło, może zechcesz pani spocząć.

„Nie odpowiadając odwróciła się od ognia i wpatrzyła się we mnie.

— „Proszę powiedz mi swoje nazwisko rzekła nagle.

— „Joanna Kennedy.

— „Czy jesteś wolną, możesz rozporządzać sobą?

— „Tak pani.

— „Mieszkasz w tym domu, z...

Zatrzymała się, spojrzawszy na matkę moją i Józię.

— „Tak, pani, obecnie mieszkam tu z matką i z siostrą, ale zazwyczaj pozostaję w obowiązku w Kwebeku.

— „W obowiązku?

I znów przerwała mowę wpatrując się we mnie. Po chwili, zapytała.

— „Joanno Kennedy, czy chcesz zgodzić się do mnie?

— „Do pani? rzekłam, nie wiedząc co odpowiedzieć.

„Tak, potrzebuję służącéj, wreszcie jeżli chcesz, towarzyszki, i nie dbam o to jakiego zażądasz wynagrodzenia, bylem mogła jéj zaufać. Jestem sama... zupełnie sama, usta jéj drgały, głos przycichł, sama jedna na świecie. Spotkało mnie wielkie nieszczęście; chcę zamieszkać w miejscu bardzo odosobnionem i samotnem... i potrzebuję jakiéj cichéj i łagodnéj istoty, aby pobyła ze mną... czas jakiś. Chcę wynająć ten dom przed którym mnie spotkałaś; zaskoczona śnieżną zawieją, poszłam za tobą zamiast wrócić do hotelu. Masz twarz bardzo sympatyczną. Zdaje się że sama musiałaś przecierpiéć wiele, więc potrafisz pojąć cierpienia drugich; chciałabym bardzo abyś była moją towarzyszką... Powiedziałam ci już że straszne dotknęło mnie nieszczęście...

Zatrzymała się chwilę, na twarzy jéj malowała się bezmierna boleść.

— Straciłam męża! wyszeptała z ciężkiem westchnieniem.

I zakrywając twarz rękami zaczęła głośno płakać gwałtownem zanosząc się łkaniem. Nigdy w życiu nie widziałam podobnéj rozpaczy.

— Biedna! biedna kobieta! zawołała moja matka.

„Ja stałam nieruchoma wpatrując się w nią; nie wiedząc co robić, co jéj powiedziéć. Zanosiła się od płaczu. Szczególna rzecz, pomyślałam, niepocieszona wdowa, strojna w tak kosztowne futro, klejnoty i kapturek przybrany ponsową materyą! Spojrzałam na jéj lewą rękę, i rzeczywiście. w pośród bogatych pierścieni z brylantami, opalami i szmaragdami, zobaczyłam ślubną obrączkę, to źródło szczęścia lub niedoli tylu milionów kobiet...

Po upływie paru minut zapanowała nad sobą z dziką prawie energią, powstrzymała łzy i rzekła podnosząc głowę.

— Nazywam się Gordon, Jak już powiedziałam jestam zupełnie sama. Przybyłam wczoraj do Kwebeku, przeczytałam ogłoszenie że dom ten jest do najęcia i przyszłam go zobaczyć. Chcę wynająć go najmniéj na pół roku, i potrzebuję kogoś coby zamieszkał w nim ze mną. Podobałaś mi się, Joanno Kennedy, czy przystajesz na moje żądanie?

„Zgodzić się czy odmówić?... Mamże zamieszkać w Saltmarsh?... nie wiedziałam co postanowić. Ta niespodziewana propozycya sprawiła mi takie wrażenie, jakby mnie kto zimną wodą oblał. Milczałam nie mogąc prawie odychać.

„— Odpowiedniéj dla mnie osobie dam wynagrodzenie jakiego sama zażąda, choćby jak największe.., i zapłacę z góry. Nie zraża mnie to wcale choć jest to miejsce tak odosobnione, owszem dla tego właśnie chcę dom ten wynająć.., a zdaje mi się że i miss Kennedy nie należy do kobiet bojących się byle czego. Wreszcie jeźli odmówisz — poszukam innéj.

„— Nie powiedziałam jeszcze, że odmawiam... wyjąkałam. Ale jest to propozycya tak nagła i niespodziewana... iż trzeba dać mi czas do namysłu... Odpowiem pani jutro.

„Zmieniła obejście swoje; twarz jéj przybrała wyraz niewysłowionéj boleści dziecka, porzuconego bez opieki i pomocy. Złożywszy ręce, wyciągnęła je ku mnie.

„— Nie odmawiaj mi! zawołała błagalnie; dam wynagrodzenie jakiego zażądasz... jakiego tylko zapragniesz... Potrzebuję koniecznie choć na czas jakiś zupełnego spokoju i oddalenia od świata. A! tak jestem nieszczęśliwa, opuszczona... taka sama... sama jedna na świecie... Straciłam męża... straciłam... straciłam... straciłam!...

„Ta pani zemdleje! zawołała Józia.

„I miała słuszność. Czy gorąco od ognia kominkowego spowodowało uderzenie do głowy, czy straszna rozpacz któréj nie ukrywała, odebrała jéj siły, dość że zachwiała się mocno, słowa zamarły jéj na ustach i byłaby padła na podłogę gdybym jéj nie podtrzymała.

„Oto w jaki sposób pierwsza lokatorka Saltmarsh weszła do naszego domku i tak ważny wpływ wywarła na moją przyszłość.

. . . .

„Pani Gordon całe dwa tygodnie spędziła w naszym domku; po upływie tego czasu dom „który się nie wynajmował“ został nareszcie wynajętym, Saltmarsh znalazł lokatora.

„Nie budziłoby to żadnego zajęcia gdybym opowiadała szczegółowo do jakich dowodzeń przekonywających, do jakich prośb uciekała się pani Gordon, w celu nakłonienia mnie abym została jéj służącą i towarzyszką zarazem. Przyznaję jednak że najwięcéj wpłynęło na mnie wynagrodzenie trzy razy wyższe od pobieranego dotychczas, i które wypłaciła mi z góry. Wszystko co mówiła i cała jéj przeszłość wydawała mi się trochę podejrzana, ale bieda zmusza nas do wielu rzeczy; przyjęłam ofiarowane wynagrodzenie i zostałam jéj towarzyszką.

„Tego wieczora, gdy matka moja i Józia udały się na spoczynek, ja parę godzin przesiedziałam przy łóżku pani Gordon, słuchając jéj historyi, którą mi opowiadała. Była to historya krótka, nieco ciemna i zawikłana. Od dzieciństwa była sierotą. Nie miała majątku ale cieszyła się skromnym dostatkiem. Nagle dotknęło ją straszne nieszczęście, straciła ukochanego męża, po czterech zaledwie miesiącach pożycia. Oto wszystko co mi powiedziała.

— „Więc mąż pani umarł? zapytałam wpatrując się w nią bacznie.

„Było to zapytanie bardzo naturalne, a przecież blada jéj twarz posiniała prawie.

„Umarł! no tak odrzekła szorstko; zaklinam cię nie zadawaj mi żadnych pytań. Tydzień zaledwie upłynął od tego czasu, nie mogę się jeszcze z tem oswoić... Tydzień dopiero, a wydał mi się wiekiem. A! straszna rzecz... straszna... pomyśléć tylko jak to długie jeszcze lata samotności i opuszczenia przebyć mi przyjdzie.. I nigdy już nie usłyszę jego głosu, nigdy go nie zobaczę... nigdy, już nigdy!...

„Wypowiedziawszy to, opadła na poduszki, gorącemi zalewając się łzami. A jak okropnie płakała! Uczułam głęboką dla niéj litość. Cóż to za dziwna historya! taka młoda, piękna, bogata, i uciekać tak nawet bez szaty żałobnéj, saméj opuszczonéj, bez przyjaciół i opieki!... Dziwna, dziwna historya!...

„Jakiż to nieprzeparty wpływ wywiera piękność kobiety! Gdyby to była sobie zwykła młoda kobieta, pewnie i ofiarowane mi dziesięć funtów na tydzień, nie byłyby mnie skłoniły do zagrzebania się z nią żywcem w ponurem Saltmarsh, nadzwyczajna jéj piękność wywarła na mnie nieprzeparty urok, zagłuszający głos rozumu.

„Jeźli prześliczna jéj twarz mnie pozbawia zdrowego rozsądku, jakżeż to dopiero zawracałaby głowy mężczyzn! myślałam sobie. Biedny ten pan Gordon! jakże okropnie było mu umierać zostawiając taką żonę... przysięgłabym że musiał kochać ją namiętnie, szalenie!

— „Pozwólcie mi zamieszkać u was, dopokąd mieszkanie moje nie będzie gotowe, powiedziała do nas nazajutrz, tonem osoby nie nawykłéj aby jéj czegokolwiek odmawiano. Nie lubię stać w hotelu, nie chcę żeby mi się przyglądano. Nie zrobię wam żadnego ambarasu ani kłopotu, nie żądam nic tylko samotności i spokoju.

„Jakże to rażącą tworzyła sprzeczność, ta dama młoda, piękna, strojna w aksamit i klejnoty, z naszem ubożuchnem mieszkaniem. Z początku namyślałam się czy zezwolić aby zamieszkała czasowo u nas, ale ubóstwo zmusza do wielu rzeczy; podjęłam się nadto wynająć dla niéj Saltmarsh, urządzić go i dopilnować potrzebnych przygotowań, aby mogła zamieszkać w nim, zdala od świata i ludzi.

„Rozpoczynając nowe moje obowiązki, udałam się najpierw do pana Barteax, oznajmiając mu wprost, bez żadnych przygotowań, że mam lokatora dla jego nigdy nie wynajmującego się domu. Jest to wdowa, mówiłam, niejaka pani Gordon; zapłaci panu odpowiednie komorne — ja mam tam mieszkać z nią razem.

— „A chwałaż Bogu! zawołał. Czy to tylko pewno; czy nie mylisz się, miss?... czyż nareszcie znalazł się lokator?... Jakaś wdowa... z iluż osób składa się jéj rodzina?

„Pan Barteaux wyobrażał sobie że jest to jakaś pięćdziesięcioletnia mamola, obarczona liczną rodziną, złożoną z jakiego pół tuzina chłopców i dziewcząt.

— „Nie panie, pani Gordon nie ma dzieci, jest młodziutką wdową, zupełnie samą. Możesz pan zrobić umowę ze mną, ona tak jest przygnębiona boleścią iż o niczem myśléć nie chce. Nie przedstawia żadnych gwarancyi. ale zapłaci z góry jeźli pan chcesz.

„Nie zwlekając spisaliśmy kontrakt i tegoż zaraz dnia pootwierano w Saltmarsh wszystkie okna, dla dania przystępu słońcu i powietrzy. Dziwne i przykre przejęło mnie uczucie, gdy poszłam z nową moją i tajemniczą panią obejrzéć te puste od tak dawna opuszczone pokoje, których widok zimnym przejmował mnie dreszczem. W domu tym było dziesięć pokoi; wybrałyśmy z nich cztery i te miały zostać odnowione, zafroterowane, umeblowane i zaopatrzone w kobierce i firanki; pani moja poleciła mi zająć się tem wszystkiem i wywiązałam się z tego zadania w przeciągu dwóch tygodni z zupełnem jéj zadowolnieniem. Nareszcie cały Kwebek dowiedział się z zadziwieniem że Saltmarsh został wynajęty i zamieszkany przez panią Gordon i Joannę Kennedy.

„Ilekroć myślą cofnę się w przeszłość i przywiodę sabie na pamięć ówczesne wspomnienia, pojąć nie mogę jak nawet wielkie ubóstwo nasze mogło mnie skłonić do przystania na pobyt mój u pani Gordon, przez te kilka miesięcy. Dnie upływały nam ponuro i monotonnie; jedynem zajęciem było czytanie, jedyną rozrywką chodzenie po wielkich pustych pokojach, w których i głos i kroki jakby grobowem rozlegały się echem. W nocy, przykre robił wrażenie świst wichru towarzyszący kwiczeniu szczurów lub piskowi świerszczy. Nikt nie przychodził do nas prócz pewnéj Francuzki któréj obowiązkiem było wykonywać wszelkie cięższe i proste

roboty; przybywała codzień rano a odchodziła wieczorem. Ja nic zupełnie nie potrzebowałam robić, a pobierałam potrójną płacę, mimo to nigdy cięższego nie podjęłam się zadania.

„Co do mojéj pani, mijały dnie, tygodnie miesiące, a zawsze pozostawała dla mnie nieodgadnioną zagadką. Zkąd przybyła, jak długo zamierza zabawić w Saltmarsh, lub nawet czy kiedykolwiek zamierza go opuścić, wszystko to było dla mnie tajemnicą. Nie pisała i nie odbierała nigdy żadnych listów; gdyby ją zamknięto w trumnie i złożono do grobu nie byłaby więcéj umarłą dla świata zewnętrznego, niż tak zamknięta między temi drewnianemi ścianami.

„Całe długie i smutne dnie przesiadywała najczęściéj przy oknie w swoim pokoju w czarne przybrana szaty, a na jéj pięknéj zasępionéj twarzy i w wielkich pełnych ognia oczach, malował się wyraz bezgranicznéj rozpaczy, zdawało się że tylko cień życia na niéj pozostał. Jakakolwiek była jéj przeszłość, a niezawodnie niezwykła, znać było że w téj chwili wszystko się dla niéj skończyło; dramat został odegrany, światła zgaszone, mogła już tylko patrzéć smutnie na spuszczoną kurtynę. Była to kobieta młoda, rzucona na pastwę przeciwności, zmuszona do tajemnicy i milczenia kocieta żyjącą jedną tylko myślą i jednem uczuciem, kobieta zmuszona coś ukrywać.

„Dwóch tylko rzeczy, dwóch jedynie dojść mi się udało. Najpierw że mąż jéj nie umarł ale że uciekła od niego i ukrywała się tu dręczona straszną obawą aby jéj nie znalazł; powtóre że mimo téj ucieczki i téj obawy, kochała go zawsze gwałtowną, namiętną miłością.

„Wszedłszy raz w nocy do jéj pokoju zastałam ją siedzącą; trzymała w ręku jakiś portret, zapatrzona w niego z zachwyceniem. Była to zwykła jéj poza; widywałam ją w niéj często, ale nigdy nie mogłam zobaczyć medalionu.

— „Przybliż się, Joanno, rzekła do mnie.

„Przysunąwszy się, poznałam po jéj twarzy że długo płakała w milczeniu, a patrząc z za jéj krzesła, mogłam dobrze przyjrzyć się portretowi. Była to miniatura odmalowana na kości słoniowéj, przedstawiająca bardzo pięknego pańskiéj powierzchowności młodzieńca; twarz była bez zarostu, z wyrazem dziecinnego prawie wdzięku a zarazem męskiéj stanowczości, w spojrzeniu malowała się szczerość i prawość.

— „Oto wszystko co mi pozostało! rzekła drżącemi ustami; nigdy go już nie zobaczę... kochałam go a jednak jestem powodem jego zguby... Śmierć nie byłaby dla niego tak straszną jak to że mnie poznał...

„Czy to ktoś z przyjaciół pani?

„Wlepiła oczy w miniature, twarz jéj rozjaśniła się odcieniem dumy: To mój mąż odpowiedziała.

— „Zapewnie chcesz pani powiedzieć że był to mąż jéj, bo wszak mówiłaś pani że już umarł?

— „Umarł dla mnie... tak Joanno... umarł dla mnie, ale jest zdrów i żyje... Choćbym żyła lat sto, nie zobaczę go już nigdy... nigdy... a są chwile w których oddałabym życie żeby go tylko raz jeszcze zobaczyć,

— „Kochasz go pani, a on cię porzucił? zapytałam.

— „Kocham go a jednak opuściłam go... Kocham go całem sercem, całą duszą moją, a jednak uciekłam od niego tak daleko i zagrzebałam się w téj pustce, bo go się boję... Sama nie pojmuję że dotąd nie oszalałam lub nie umarłam... były chwile że spodziewałam się iż śmierć zakończy moje cierpienia, w innych znów chciałam sama zadać ją sobie. Ale w najcięższych nawet chwilach życie ma swoje prawa mocą których wywiera nad nami swą władzę i odejmuje odwagę gdy go się pozbawić chcemy... Ach! Joanno, jak on mnie kochał! jak on mnie kochał!... i ożenił się ze mną... a teraz... teraz... gdyby mnie odszukał, myślę że chybaby mnie zabił.

„Zdawało mi się że przesadza; to też popatrzywszy na tę twarz młodą, piękną, pełną szlachetności, odrzekłam:

— „Co! ten młodzieniec z tak słodkiem i pieszczotliwem spojrzeniem miałby panią zabić?... nie, to niepodobna! mordercy nie mają takich oczu.

— „Jest to najuczciwszy, najszlachetniejszy człowiek na świecie, należący do najwyższego towarzystwa, słowem prawdziwy gentleman.

— „No i pani, żona jego, uciekłaś od niego i mówisz iż gdyby cię zobaczył toby cię zabił?

„Wsparła głowę na ręku a cała jéj postawa zdradzała beznadziejną rozpacz.

— „Daj mi pokój, rzekła, ty nic tego nie rozumiesz... ach! gdybym mogła umrzéć, razby się wszystko skończyło... Słuchaj Joanno, rzekła, patrząc na mnie z wyrazem niewysłowionego przerażenia, wczorajszéj nocy śniło mi się że mnie szukał... że tu przybył. Stanął przedemną straszny groźbą... w ręku trzymał wydany na mnie wyrok śmierci... Nie wpuszczaj go, Joanno, nie wpuszczaj tu nikogo!... bo gdyby mnie zobaczył, przysięgam ci że mam niezłomne przekonanie że by mnie zabił.

„Czy pani Gordon zaczyna dostawać pomieszania zmysłów? oto pytanie jakie zadałam sobie kładąc się do łóżka i tego dnia i kilku następnych. Dziwna to jakaś i niepojęta historya, myślałam sobie, im prędzéj się wycofam tem lepiéj, nie chcę zostawać tu dłużéj; ale właśnie gdy miałam oznajmić pani Gordon moje postanowienie, przeszkodził temu cały szereg nieprzewidzianych wypadków.

„Minął luty, marzec, kwiecień i maj, minęła pierwsza połowa czerwca. Pewnego dnia, po południu, wyszłam do miasta dla kupienia tygodniowych zapasów i z koszykiem w ręku wracałam do domu. Musiałam przechodzić ulicą Ś. Ludwika, przy któréj mieściło się biuro pana Barteaux, i zobaczyłam go stojącego przed drzwiami z jakimś nieznajomym panem, z którym zdawał się ważną bardzo prowadzić rozmowę. Zmieszałam się bardzo spojrzawszy na nieznajomego, albowiem poznałam w nim oryginał miniatury, męża mojéj pani. Stało się, pomyślałam, nadeszła godzina któréj tak obawiała się pani Gordon.

„Nie widział mnie, z czego korzystając zatrzymałam się chwilę aby mu się lepiéj przypatrzyć. Tak, to on, pomyślałam, nie ma wątpliwości. Ta tylko zachodzi różnica między nim a portretem, że ma jakiś zgnękany a zarazem dziki i stanowczy wyraz twarzy. Miniatura przedstawiała otwartego i szczęśliwego młodzieńca, oryginał jej wyglądał na człowieka zrozpaczonego i zgnębionego. Miał na głowie kapelusz słomiany nasunięty na oczy; paltot letni zapięty pod szyję; patrząc na niego można było poznać od razu, że to wojskowy i gentleman.

„Zawróciwszy na wązką uliczkę, boczną drogą co tchu pobiegłam do domu, gdyż moim było obowiązkiem uprzedzić panią Gordon że obawy jéj zostały urzeczywistnione, że przybył mąż jéj od którego uciekła. Biegłam tak prędko, że w niespełna pół godziny doszłam do Saltmarsh.

„Powtarza zawsze żeby ją zabił, a kto wie czyby rzeczywiście tego nie zrobił, i na samą tę myśl dreszcz mnie przejął, nie byłby to pierwszy i ostatni mąż który zabił żonę!

„Wpadłam do mieszkania i drżąca i zadyszana przeleciałam wszystkie pokoje, ale pani Gordon nie było w żadnym. Od czasu nastania pięknych dni czerwcowych, wychodziła niekiedy na przechadzkę, ale wiedziałam gdzie jéj szukać. Nad brzegiem rzeki był łan piaszczysty na który słońce padało w całéj pełni, tam zwykle zwracała swe kroki, tam i teraz być musiała.

„Wybiegłam z domu rzucając dokoła przerażone spojrzenia; o nieba! zobaczyłam wysokiego nieznajomego w słomianym kapeluszu i szarym palcie, prędkim krokiem zbliżał się ku mnie. Chciałam krzyczéć tak byłam przerażona.

„Jeźli mnie uprzedzi, samo niespodziewane zobaczenie go może ją zabić, pomyślałam, gdyż od pewnego czasu widocznie mocno była osłabiona. Obejrzałam się raz jeszcze i prędko spuszczając się ze wzgórza, zaczęłam wołać na panią Gordon. Przechadzała się samotnie po piaszczystem wybrzeżu, zapatrzona w zwierciadlane fale rzeki. Zadziwiona szybkim moim biegiem i przerażoną miną, zatrzymała się orzucając mnie pytającem spojrzeniem.

— „Przez litość! uciekaj pani co masz sił, uciekaj! wołałam... on tu jest!

„Rękami przycisnęła serce; na twarzy zajaśniał odbłysk jakby wielkiéj nadspodziewanéj radości.

— „Kto?... zaledwie mogła wyszeptać.

— „Mąż pani... ten pan którego miniaturę pokazałaś mi pani. Uciekaj pani, powtarzam, jeźli masz powód go się obawiać, bo on tu idzie... O nieba otóż jest.

„Przerażenie moje najwyższego dosięgło stopnia. Szedł ciągle za mną i ukazał się na ścieżce. Obejrzałam się na moją panią? cóż to czy zemdlała czy uciekła?... ani jedno ani drugie. Któż zrozumie serce kobiety, żony? Wprawdzie na jéj zbladłéj twarzy malowało się przerażenie, ale jednocześnie zabłysła na niéj taka radość, taki zachwyt, iż uczuć tych, tak spotęgowanych, nigdy jeszcze na żadnéj ludzkiéj twarzy nie widziałam. Kochała go szalenie i ujrzała raz jeszcze, oto co wyraźnie wyczytać można było.

„Szedł wybrzeżem; postąpiła parę kroków naprzeciw niego, z rozpromienioną twarzą, z wyciągniętemi rękami, wołając rozdzierającym głosem:

— „Gordon!... Gordon!... Gordon!...

„Ach! jakże zachwycająco była piękna! nawet w téj drażliwéj chwili nie mogłam nie zauważyć tego.

. . . .

„Stało się! nie w mojéj mocy było przeszkodzić temu; nie zostawało mi nic więcéj jak usunąć się na bok i oczekiwać z niepokojem końca strasznego domowego dramatu jaki rozwijał się przedemną.

„Zszedł ze wzgórza i stanął nad brzegiem rzeki, naprzeciw kobiety, żony, która uciekła od niego. Jasne promienie popołupniowego słońca padały na jego twarz więcéj daleko zngkaną, wybladłą, dziką i zrozpaczoną, niż to dostrzegłam pierwéj. Wyraz jaki malował się w jego pięknéj twarzy był surowy i nieubłagany jak przeznaczenie, już sam przerażający spokój zapowiadał że nie można się było spodziewać od niego, ani przebaczenia ani litości.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 18.

N. 1—2 i 30—31. Ubrania wiosenne spacerowe. Krój vêtement N. XVIII, Fig. 93.

Cały garnirunek spódnicy ma 75 cent. szerokości; każda plisowana falbana ma u dołu wypustkę atłasową tego co suknia koloru, a w najszerszą dolną co 3 fałdy wsunięta jest pliska atłasowa, 1 ¼ cent. wystająca. Model sukni zrobiony był z jasno orzechowego beszu; do przybrania w miejsce atłasu użyć można pekinu w paski, a garnirunek odmienić w sposób na ryc. 31 wskazany. Vêtement przykroić podług zmniejszonego modelu i miar podanych na Fig. 93, fałdy pleców powinny być od spodu spięte u dołu w ten sposób, ażeby układały się z boków, w sposób wskazany na ryc. 1; w górze zaś przy kieszeni plecy i boczki podpięte są w fałdę 8 cent głęboką oznaczoną na Fig. 93. Tylna część vêtement u dołu podszyta jest listwą atłasową 12 cent. szeroką, która widoczna jest przy złożeniu fałd. Model do ryc. 31 odrobiony był z materyału w drobne paski; przód sukni naszyty był pliskami atłasowemi, a przody vêtement i falbana przy draperyi, ubrane z atłasu.

N. 2. Ubranie z paltocikiem.

Paltocik dopełniający ubranie spacerowe zapięty jest tylko na jeden duży guzik, a z pod szeroko otwartych od dołu przodów, wygląda atłasowa kamizelka, suto haftowana kolorowemi jedwabiami. Przy podłużnym wykroju szyi kołnierz wykładany aksamitny. Suknia opisana przy ryc. 52 w N. 19 Tygodnika Mód.

N. 5—6. Desenie na poduszkę lub krzesło i na szlaki do mebli. Robota krzyżowa.

Na ryc. 5 — 6 podajemy zmniejszone wzory najświeższych deseni na meble do roboty krzyżowej na kanwie, które posłużyć mogą jako wskazówka przy kupnie deseni.

N. 7. Deseń na poduszkę do kanapy. Haft płaski z aplikacyą aksamitu.

Na tle sukiennem jasno piaskowem, ładnie odbija aplikacya kwiatów i owoców malowanych naturalnemi kolorami, na krótko strzyżonym aksamicie. Wycięte z aksamitu figury układać trzeba w sposób na ryc. 7 wskazany i przyhaftować z brzegów ściegiem płaskim, cienką filozelą w tych samych i w odmiennych stosownie dobranych kolorach do cieniu. Arabeski i gałązki łączące szlak trzeba odrysować ołówkiem na tle i odrobić ściegiem łańcuszkowym a drobne gałązki ściegiem sznureczkowym. Środek liści i kwiatów ozdobić żyłkami lub supełkami.

N. 9—11. Stanik z długą baskiną i spódnica z draperyą. Krój stanika i draperyi Nr. IX, Fig. 49—56.

Obcisły, gładko do figury przystający stanik, podajemy oddzielnie, ażeby lepiej okazać cały układ spódnicy. W formie stanika podanej na Fig. 49 — 55 łatwo zaprowadzić różne małe odmiany; do stanika pod szyję z okrągłym wykrojem, odrzuca się część przodu Fig. 49, a podkrój daje się podług cienkiej linijki na Fig. 50. Zmniejszony model Fig. 56, daje miary i wskazówki upięcia na spódnicy; przednie bryty a), mające mniejsze lub większe, podług figury dopasowane zaszewki, zachodzą na siebie w górze 27 cent.; tylny bryt b) z jednej strony podpina się w dwa pukle, z drugiej spuszcza prosto. Garnirunek stanowią 7 cent. szerokie plisy, z takiej materyi jak kołnierz i mankiety, i falbana skośna 16 cent. szeroka, pod nagłówkiem 4 cent. szerokim kilka razy w równych odstępach przemarszczona. Część dolna przodu wyglądająca z pod otwartych brytów ułożona jest w skośnie idące fałdy.

N. 13 — 14. Serweta do przykrycia stołu, ze szlakiem haftem krzyżowym.

Przy pluszowej serwecie szlak haftowany jest na atłasie tego samego koloru, jedwabiami różno kolorowemi, ściegiem krzyżowym; przyszycie przykrywa wązki szlaczek, w połowie na plusz zachodzący, podany na ryc. 14. Na szlak szerszy może służyć deseń ryc. 17 w N. 18, lub inny wybrany w poprzedzających N-rach Tygodnika.

N. 15. Poduszka ozdobiona haftem płaskim.

Poduszka trzymająca 45 cent. w kwadrat, robiona jest na tkaninie naśladującej dawne materye, przerabianej w deseń kolorowy na tle szaro zielonawem, przetykanem nitkami złotemi. Deseń fabryczny pokrywa się i zdobi haftem płaskim, filozelą o dwóch nitkach. Na modelu bajeczne zwierzątko było robione cieniem różowym i lila, liście oliwkowym a gałązki brunatnym. Kwiaty były różowe z popielatym, a arabeski środkowe niebieskie do cieniu. Sznury i kwasty powinny być kręcone z mieszanych kolorów haftu.

N. 16 i 54—64 w N. 19. **Bielizna** stołowa.

Bielizna stołowa ozdobiona kolorowemi szlakami coraz więcej wchodzi w modę, znaczniejsze fabryki wyrabiają serwety do herbaty i małe serwetki ze szlakami, herbami i monogramami kolorowemi, do których desenie wzięte są z pięknych wzorów robionych ręcznie. Duże stołowe obrusy bywają białe, tylko na środku kładą się na wierzchu piękne serwety przerabiane lub haftowane bawełną kolorową, dobrą do prania. Ozdobna i kosztowna porcelana stołowa lub zastawy do kawy i do herbaty, powinny deseniem i kolorem odpowiadać bieliźnie stołowej. Rycina 59 w N. 19 przedstawia serwetę do herbaty, ozdobioną piękną wiązaną frendzlą, która miała tło białe gładkie, tkane jak atłas, a szerokie szlaki na tle blado niebieskim miały deseń biały z konturami szafirowemi. Model do ryc. 60 przy tle białem w deseń adamaszkowy, miał szlaki przerabiane kolorem żółtym, ponsowym i niebieskim.

Rycina 61 przedstawia w naturalnej wielkości herb tkany fabrycznie a następnie haftowany ściegiem płaskim i supełkowym bawełną kolorową, a ryc. 62 — 63 dwa monogramy, które na serwetach rozpostartych na obrusie odrabia się na środku, a na serwetach garniturowych w rogu. Na ryc. 16 w bieżącym N-rze podajemy garnitur bielizny stołowej, złożony i związany paskami haftowanemi ściegiem krzyżykowym na kanwie jawa, a podszytemi wstążką kolorową.

N. 18—19. Ręcznik ozdobiony siatką gipiurową i kratką wyciąganą.

Ręcznik z płótna gładkiego umyślnie na ten cel wyrabianego, zakończony jest w koło obrąbkiem 1 cent. szerokim, przyszytym kratką na którą wyciąga się 6 nitek. Rycina 18 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę kratki ażurowej i koronki siatkowej zakończonej przewiązaną frendzlą. Siatkę i frendzle robi się z nici N. 50, do cerowania bierze się nici N. 60, a do obwiedzenia konturów bawełną ponsową N. 30. Nad pasem kratki ażurowej dana jest jeszcze wstawka siatkowa, 15 c. szeroka, na której wyszywa się ten sam deseń co na koronce, tylko ptaszka będącego pod gałązką, daje się ciągle na przemian z takową, w odstępie jednego centymetra. Sposób dziergania zębów i wiązanie frendzli wskazujemy na ryc. 18.



N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia z krótkim vêtement. Patrz rycina 30—31. Krój na arkuszu Nr. XVIII, Fig. 93.

N. 2. Suknia z paletocikiem.

N. 20. Ręcznik płócienny z wrobionemi fabrycznie szlakami kanwowemi.

W ręcznik gruby płócienny, mający 152 cent. długości a 50 szerokości, wrobione są 12 cent. szerokie szlaki z kanwy jawa, zakończone z brzegów także fabryczną kratką, pomiędzy wązkiemi, ponsowo przerabianemi paskami. Na tej kanwie wyszywa się bawełną ponsową N. 30 szlak podany w N. 17 Tygodnika Mód, na rycinie 24 któren na jednym brzegu ręcznika robi się ściegiem na dwie strony, a na drugim zapełnia się cały środek figur ściegiem krzyżowym. Do frędzli białej robionej w fabryce można dowiązać nitki ponsowe.

N. 21—22. Pantofel haftowany. Druga część deseniu na dodatku z formami Figura 40.

Na rycinie 22 dajemy deseń w naturalnej wielkości na przód pantofla, a na Fig. 40 połowę części tylnej, którą w środku odwrócić trzeba. Haft wykonywa się na szarem płótnie lub dymie, kolorowemi jedwabiami. Liście gałązki i wąsy cieniem oliwkowym i czerwonawo orzechowym, palmy obwodzi się 2 razy kolorem niebieskawo wodnym, kratkę środkową robi kolorem majowym, a podłużne ściegi w obwiedzeniu dać nitką złotą i jedwabiem różowym; troiste liście z boków obwieść kolorem szafirowym a kratkę niebieską przewlec nitką złotą. Większe płaskim ściegiem haftowane gwiazdy powinny być różowe z obwódką wodnego koloru, a środkiem wodnym i złotym małe kwiateczki jasno niebieskie z obwódką złotą.

N. 24—25. Wachlarze dwa duże spacerowe, które wyrabiane są z drzewa lub skóry, ozdobne i modne malowidło stanowią jaskółki umieszczone pomiędzy kwiatami

ub owocami, albo na słupach i drutach telegraficznych.

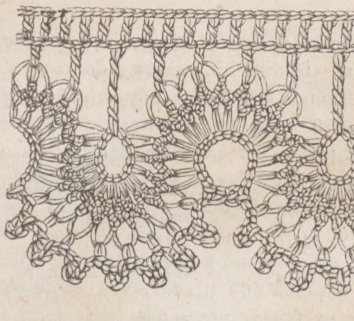
N. 23 i 26 — 29. Parasoliki i parasole.

Najmodniejsze parasoliki mają w górze kształt chińskiej wieżyczki a brzegi markizy (patrz ryc. 23 i 26); często całą ozdobę stanowi suta frendzla w kolorach szkockich, przy gładkiej parasolce czarnej lub kolorowej, albo na białej jedwabnej podszewce dana girlanda z kolorowych kwiatów, które wycina się z kretonu, układa na kwaterkach i przyszywa z brzegów ściegiem płaskim lub dzierganym. Strojne spacerowe parasoliki zdobi haft ręczny dany z wierzchu w koło, lub jako rzucik „Mille-fleurs" albo ułożony w sposób wskazany na rycinie 26. Także tylko do strojnych parasolików daje się pokrycie z koronki białej lub czarnej; koronka może być bretońska, ręcznie robiona na tiulu, albo irlandzka, do tej ostatniej podajemy zmniejszony deseń jednej kwaterki na ryc. 29.

„En-tout-cas" mogą być z materyi gładkiej lub przerabianej w rzucik, z kolorową podszewką i riuszą, albo jak na ryc. 27 z materyi w poprzeczne paski lub w deseń adamaszkowy jak na ryc. 28.

N. 32—33. Ubranie negliżowe z vêtement zwanem „huppelande". Krój vêtement Nr. VIII, Fig. 43 — 48a.

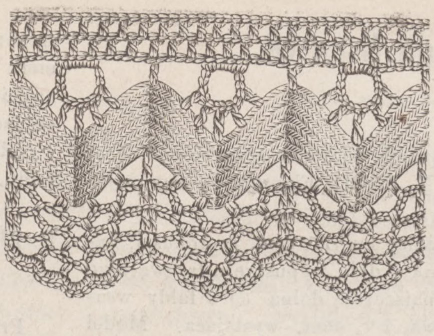
Jako dopełnienie negliżowego ubrania, do białych suto i strojnie garnirowanych sukien modne jest vêtement huppelande, założone na wierzch, tylko w pasie lekko zapięte na szmuklerską agrafkę, a zresztą zupełnie otwarte i odsłaniające cały przedni garnirunek sukni. Hupelanda krojem do paletota zbliżona, może być ze zwykłemi albo otwartemi greckiemi rękawami. Zwykle robiona bywa z kaszmiru, cała na jedwabnej podszewce; kołnierz i wyłożenie przodów może być z atłasu lub aksamitu tego co podszewka koloru, albo nawet z kaszmiru z wypustką z materyi. Część formy Fig. 43—45 i 48, trzeba podług podanej miary, od dołu przedłużyć. Fig. 46 daje formę zamkniętego, a Fig. 47 zmniejszony model rękawa greckiego.



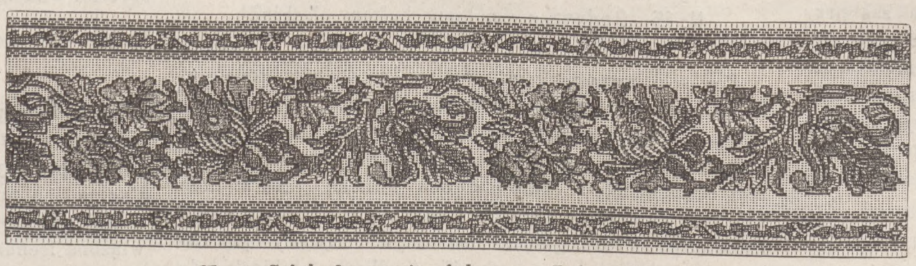
N. 3. Koronka z torsadki na widełkach obrobionej szydełkiem.



N. 5. Haft na poduszkę lub taboret.



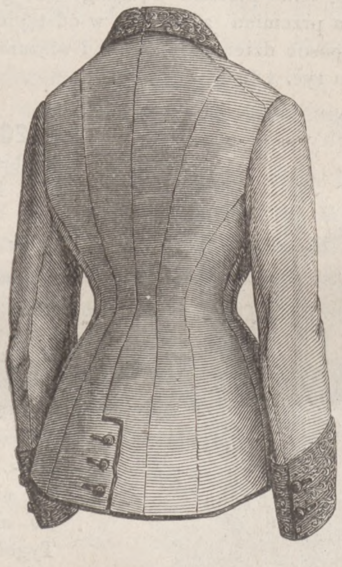
N. 4. Koronka z tasiemki w ząbki obrobiona szydełkiem



N. 6. Szlak do portjer lub t. p. Robota krzyżowa.



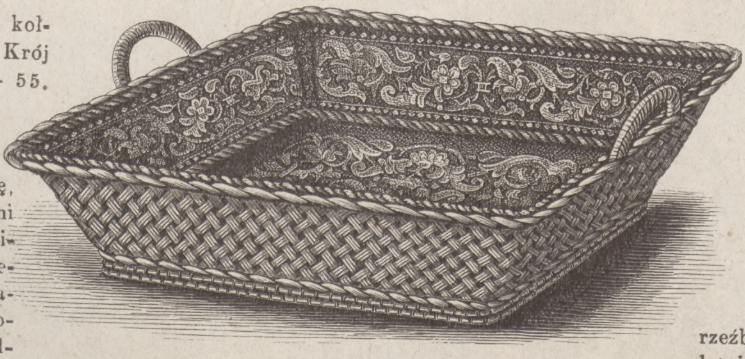
N. 7. Haft na poduszkę do kanapy. Ścieg płaski i aplikacya z aksamitu.



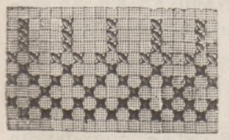
N. 9. Stanik z wykładanym kołnierzem. Patrz ryc. 10 i 11. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 49 — 55.



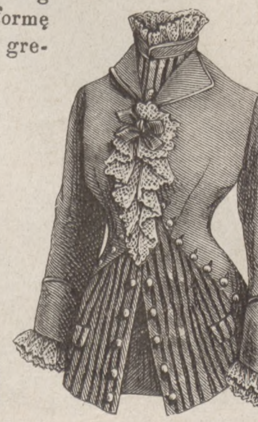
N. 10. Stanik z wykładanym kołnierzem. Patrz r. 9 — 11.



N. 8. Kosz do robót, na negliżyki lub t. p.



N. 14. Szlaczek wyszyty krzyżykami.



N. 12. Stanik z kamizelką do r. 51 w N. 19.



N. 11. Suknia z tuniką upiętą na spódnicy. Stanik patrz ryc. 9 — 10. Krój tuniki Nr. IX, Fig. 56.



N. 13. Serweta ozdobiona szlakiem.



N. 15. Poduszka do kanapy. Haft płaski.

Opis do N-ru 19

N. 1 — 6. Wzory pasmateryi i guzików.

N. 7—8. Krawat ozdobiony wyszyciem krzyżykowem.

Wstążka czarna serge 140 centym. długa, 8 1/2 szeroka stanowi krawatkę przedstawioną na ryc. 7, z końcami wysiepanemi na 3 cent., ozdobioną wyszyciem krzyżykowem podług ryc. 8; dla ułatwienia wyszycia podkłada się cieniutką kanwę, którą wysiepuje się następnie.

N. 9—10. Neseser kieszonkowy.

Praktyczny w podróży bo mało zajmujący miejsca w woreczku lub kieszeni, zawiera wszelkie przybory do szycia: futerał na nożyczki i naparstek, kieszonki, haftki, guziczki i t. p., tasiemki, szpilki i igły. Urządzenie wewnętrzne wskazuje ryc. 6; zwierzchnie pokrycie z kolorowego atłasu wyszytego krzyżykowym ściegiem.

N. 11—14. Przybory do koszyczka do robót.

Rycina 11 — 14 przedstawiają futerał na nożyczki, poduszeczkę do szpilek i książeczkę do igieł, odpowiednie do umieszczenia w koszyczku do robót. Przyozdobienie tych drobiazgów dostatecznie wskazują ryciny.

N. 15—16 i 18 — 20. Opisy i formy na arkuszu z krojami.

N. 21 — 22. Wachlarz i rękawiczki do letniego ubrania.

Wachlarze uważane są za niezbędny dodatek przy każdej toalecie; do balowego ubrania modne są wachlarze z piór, koronek i materyi z ozdobnie rzeźbioną kościaną lub drewnianą obsadą, zaś na dnie letnie do ubrania spacerowego lub skromnej domowej toalety najpraktyczniejszy jest wachlarz gładki drewniany oklejony u góry takim jak suknia materyałem. Cienkie niciane lub jedwabne rękawiczki, jakie wiele osób przekłada w lecie nad glansowane lub jelonkowe powinny być odpowiedniego do sukni koloru, z takiem samem jak suknia przybraniem.

N. 23—25. Paski trzy modne.

Paski bardzo będące w użyciu, noszą skórzane, z taśmy szerokiej srebrnej lub złotej lub z wstążki przerabianej w drobne kwiatki; klamerki są różnorodne metalowe emaljowane lub ozdobnie wyrabiane. Rycina 14 załącza pasek zszyty z wstążeczek $1\frac{1}{2}$ cent. szerokich w deseń niebieski na tle czarnem, klamerka emaljowana odpowiednio.

N. 26. Paletocik dla chłopca lat 7—9. Krój na arkuszu Nr. XIII, Fig. 68 do 75.

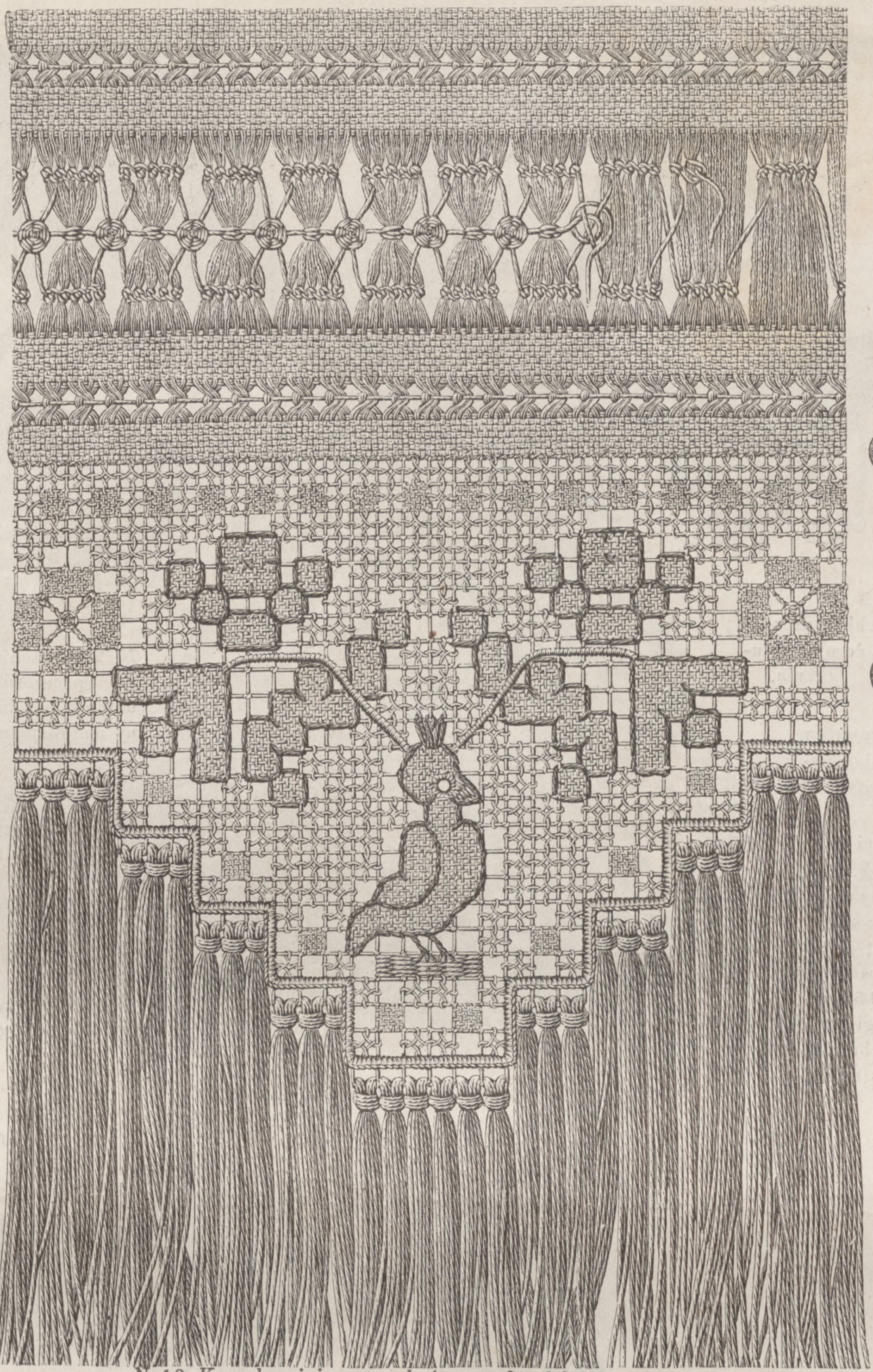
Nowość w wykończeniu paletota z piaskowego sukienka stanowi zapięcie na patki i guziczki rogowe. Wszędzie w okolo brzegów dane dwa rzędy stębnówki; u rękawów wykłady skośne 8 cent. szerokie; kieszonki z wykładami krają się podług Fig. 72 i 73; pod kołnierz i patki dana podszewka z żagnotu. Przecięcia do przewleczenia patek obszywają się wąziutko skosem i obstębnowują.



N. 16. Bielizna stołowa związana kolorową wstążką.

N. 29—30. Paletocik z fałdowanemi plecami dla dzieci lat 2—4. Krój na arkuszu N. VI, Fig. 24—30.

Może być odszyty z sukienka lub z tego co ubranie materyału; guziczki metalowe kwadratowe. W plecach paletocika w każdej połowie założone są trzy fałdki zastębnowane od góry aż poniżej stanu a dalej wolno puszczone. Pojedyncze części łączą się z sobą szwem francuzkim; dolny brzeg jest zaobrąbiony.



N. 18. Koronka gipiurowa zakończona frendzlą, do r. 19.



N. 19. Ręcznik ozdobiony kraką ażurową i siatką gipiurową. Patrz rycina 18.



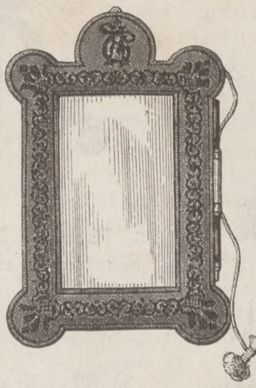
N. 21. Pantofel haftowany. Patrz ryc. 22 i Fig. 40.



N. Część deseniu na pantofel ryc. 21.

N. 31 — 32. Paletocik z kamizelką dla dziewczynki lat 6 — 8. Krój na arkuszu Nr. XIV, Fig. 72—82.

Odrobiony z jasno popielatego sukienka, ozdobiony naszyciem z ciemniejszego sutaszu i białemi guziczkami z konchy. Na rycinie 31 kamizelka, kołnierz, mankiety i kieszenie są z popielatego jedwabnego repsu. Pojedyncze części paletocika zszywają się stębnówką, kamizelka wykończona oddzielnie podchodzi pod przody i podszyta jest od 13 do 14. Szerokość zbywająca przy drugich częściach przodów od dwu kropka zachodzi pod spód w fałdę płasko załamaną; przy pierwszych szwach pleców założona jest również fałda odznaczona linją na Fig. 79.



N. 17. Tabliczka do spisywania bielizny. Deseń na ark. Fig. 39.

N. 33. Kapelusz z florenckiej słomki.

Kapelusz formą pameli ma rondko 7 cent. szerokie z tyłu wygięte w fałdę, podszyte ponsowym atłasem. Nad czołem od spodu rondka dana kokarda z żółtej wstążki serge 6 centym. szerokiej; zwierzchnie przybranie stanowi wstążka serge i bukiet pączków różanych z liśćmi.

N. 34--35. Kapotka z niebieskiej krepy.

Fasonik tiulowy pokrywa się krepą złożoną w kilkoro; skos atłasu niebieskiego założony w fałdy obejmuje rondko na $1\frac{1}{2}$ centym. szerokości i otacza główkę. Przybranie zwierzchnie składają trzy różowe piórka strusie po 15 cent. i jedno niebieskie 12 cent. długie, z pod których wysuwa się szeroka plisowana koronka bretońska. Z boków główki do tyłu dane dwa atłasowe skosy 14 cent. szerokie spięte agrafką;



N. 20. Ręcznik ozdobiony szlakiem.

końce do wiązania liczą po 5 cent. szerokości a 100 długości.

N. 36. Kapelusz czarny bastowy.

Ma rondo wywinięte, z jednej strony nizkie z drugiej wysokie, podszyte czarnym aksamitem; główkę opasuje skoś aksamitny, z boku po za wysokiem rondkiem upięty w kokardę z pod której wysuwają się trzy czarne strusie pióra 18, 22 i 30 cent. długie, w środku rozdzielone kitką z kolorowego puszku.



N. 23. Parasolik ozdobiony piórami.

N. 24. Wachlarz do spacerowego ubrania.



N. 29. Irlandzka koronka do przykrycia parasolika.



N. 25. Wachlarz do spacerowego ubrania ozdobiony malowaniem.

N. 26. Parasolik ozdobiony haftem.

N. 38. Paletot z kwadratowym wykrojem pod szyją. Krój jak do ryc. 16 i 43.

Zapięty na dwa rzędy guzików z kołnierzem i wykładami aksamitnemi ma brzegi oszyte atłasową wypustką. Kwadratowy wykrój szyi dopełnia się szmizetką plisowaną w drobne fałdki, która z boków przypina się na haftki.

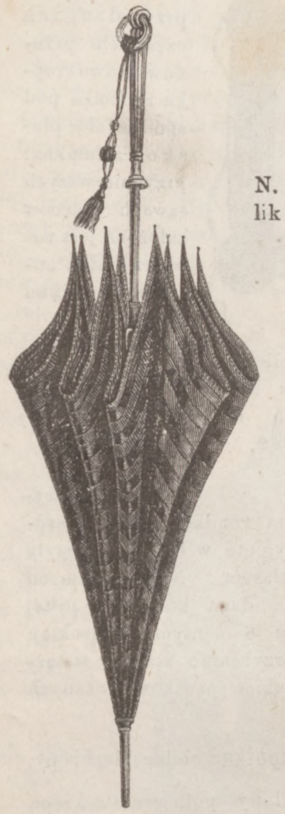
N. 37. Krawatka z muślinu indyjskiego (marquise).

Około szyi dany prosty pasek muszlinu złożony w fałdy, 25 cent. szeroki 48 długi; pukle i końce plisowane są po 13 i 15 cent. długie; brzegi oszyte koronką bretońską 7 cent. szeroką.

N. 39 — 40. Sukienka princesse dla panienki lat 11 do 13. Krój na arkuszu Nr. V. Fig. 16—23a.

Części kroju dopełniają się na długość i szerokość podług wypisanych miar i łączą z sobą podług odpowiednich liter.

(*Dok. nast*).



N. 27. Parasolik „en-tout-cas" pokryty materyą w pasy.



N. 28 a i b. Parasolik pokryty adaszkową materyą. Parasol.



N. 30. Suknia z krótkiem vêtement. Patrz ryc. 1.



N. 32 — 33. Ubranie negliżowe z vêtement (houppelande). Krój vêtement na arkuszu Nr. VIII, Fig. 43—48a.



N. 31. Suknia z krótkiem vêtement otwartem z przodu. Patrz ryc. 1.



Pl. 391.

TYGODNIK MÓD.

W WARSZAWIE.